Sternik
dwutygodnik dla młodych
Warszawa

ROK II Nr. 3. 10-go LUTEGO 1930 R. CENA 50 GROSZY.

DZIESIĘCIOLECIE POLSKIEGO MORZA

Przed kilkunastu laty parjasi bez imienia, zapomniani przez wszystkich, poza nawiasem życia.

Weszliśmy do tego życia przez śmierć i przez krew. W ogniu działań wojennych, gdy zmagali się nasi najwięksi wrogowie, znalazła się i szabla polska, co pod polskim sztandarem i o polską wolność walczyła. Ta szabla nasza to była jedyna polska rzeczywistość, i ona przypomniała imię nasze w świecie.

Żołnierz nasz sprawił, że oto imię Polski zjawiło się przy zielonych stołach pokojowych konferencyj i na mapie Europy musiało się znaleźć państwo polskie.

Rozpoczęła się walka o granice. Jednych bronili żołnierze własnemi piersiami, o inne walczyli nasi delegaci przed trybunałem dziejowej sprawiedliwości.

Nie oddano nam Gdańska, przeważyły wpływy tych, co obawiali się przyszłej potęgi Polski — dostaliśmy jedynie kilkanaście kaszubskich wiosek, na piaszczystym brzegu położonych.

Zajęci krwawą wojną na wschodzie musieliśmy zadowolić się tem, co nam dano. Bo ten mały skrawek morza, to było nasze okno na świat, to był konieczny warunek naszej przyszłej wielkości.

I dlatego dzień objęcia w nasze posiadanie morza, był dniem radosnym. Wiedzieliśmy, że tak jak potrafimy zwyciężyć w wojnie, tak zwyciężymy i w budowaniu nowego życia.

I oto dziś mija lat dziesięć od tej radosnej chwili. Dziś już nie parjasi, a potężne europejskie państwo, z dumą spoglądamy na nasze morze.

Tam, gdzie kiedyś była uboga wioska rybacka, tam wznoszą się wielkie wspaniałe budowle naszego portu. Do brzegu, do którego przybijały tylko małe łódki rybackie, zdążają dziś z całego świata wielkie parowce, wiozące olbrzymie ładunki transportów.

To też uroczystość dziesięciolecia jest dla nas nietylko radosną pamiątką odzyskania morza, ale jest wielkiem i radosnem świętem pracy, jaką umieliśmy w utrzymanie tego naszego morza włożyć.

Nasze morze, port w Gdyni, to radosny dokument naszych sił żywotnym, naszych wielkich możliwości.

Ze święta dziesięciolecia czerpiemy nowy zasób sił i zapału do dalszej pracy.

STEFAN BATORY

Moja sława — wasza sława, a wasza sława moja sława (...mea enim gloria vestra gloria est et deinceps vestra gloria mea gloria est).

Z mowy sejmowej króla.

Sławą dla narodu polskiego jest panowanie Batorego. Król cudzoziemiec, który tak trafnie odczuł ducha dziejów naszych, który w Rzplitej szlacheckiej nie chciał być „królem malowanym", a pchnął naród na drogę potęgi i sławy będąc nieugiętym symbolem poszanowania prawa i wcieleniem poczucia państwowości. „Celem każdej rzeczypospolitej jest pożytek ogólny i dobro narodowe, o to staram się usilnie, nie zważając na głosy złośliwe" — mówi na sejmie warszawskim 1575 r., a panowanie jego jest potwierdzeniem owych słów.

Przybył Stefan Batory do Polski z Siedmiogrodu, powołany na tron przez szlachtę polską, kierowaną przez Zamojskiego i Zborowskich. Nie znał języka polskiego, ani państwa którem miał rządzić, chociaż stykał się z Polakami w służbie Izabelli Jagiellonki i Jana Zygmunta Zapolji na Węgrzech. Obeznany z dworem cesarskim przez służbę u Habsburgów, którym odprowadzał do Włoch arcyksiężniczkę Katarzynę, zaślubioną ks. Mantui, przeniknął arkana dyplomacji europejskiej, obracającej się podówczas dokoła spraw religijnych i niebezpieczeństwa tureckiego przy rywalizacji dwu najpotężniejszych w Europie dynastji: Habsburgów i Walezjuszów.

Już jako książę marzył o koalicji wschodnio-europejskiej, o wypędzeniu Turków i wyzwoleniu własnej ojczyzny od obcego najazdu. Korona polska miała być środkiem do urzeczywistnienia wyższych celów. To też po otrzymaniu wiadomości o obiorze na króla miał Batory oświadczyć: „Tego królestwa ofiarowanego mi nie popuszczę, choćbym trzy dni tylko miał chodzić w koronie". Miał wielkie trudności przed sobą przy obejmowaniu rządów; miał przeciw sobie senat z arcybiskupem Uchańskim, który chciał widzieć cesarza Maksymiljana Habsburga na polskim tronie. Ale króla Stefana broniła szlachta; wiele zdziałał on sam jednając sobie wszystkich uprzejmością, trafnością zdania i znajomością sztuki wojennej. Nuncjusz papieski takie nam o nim zostawił świadectwo: „Król Stefan... po łacinie mówi nie tylko dobrze, ale wytwornie i wymownie, jest poważny i rozważny wszystkim na podziw. Z rozmowy jego widać, że się dobrze zna z doświadczenia na wszystkiem, a najbardziej na zarządzie państwem i na sposobie prowadzenia wojen ważnych".

Rozpoczynał się dla króla okres 10 - letnich zmagań. Walczyć musiał nietylko z wrogami zewnętrznymi: wpływami cesarskiemi w Gdańsku i Iwanem Groźnym, ale i z wrogami wewnętrznymi, stokroć dla państwa groźniejszymi: anarchją i bezprawiem. „...nierząd wszystkie dawne obyczaje psuje, na których miejsce nastąpiły srogie zbrodnie, mężobójstwa, gwałty, łupiestwa, mordy, z rusznic zabijania, wszeteczeństwa... i innych wiele szkaradnych występków. Boże daj, by to wszystko w Rzeczypospolitej ustało, a do pierwszych się spraw przodków naszych wróciło, mogłaby jeszcze ta Rzeczpospolita zakwitnąć, iżby nad nią ozdobniejszą trudno miał kto znaleźć". Tak charakteryzował król stan kraju i sławy mu życzył. A wszystkie siły swoje wytężył, aby Polska zakwitła; wskazał narodowi drogę na długie lata zmagań o utrzymanie politycznego bytu.

On pierwszy wyczuł, że największe niebezpieczeństwo zagraża Polsce od Moskwy. To też zaraz po upokorzeniu buntowniczych Gdańszczan, skierował wszystkie siły na pokonanie Iwana Groźnego, który Inflanty pustoszył, mordując w straszliwy sposób ludność. Natchnął naród szlachecki ofiarnością na cele nowej wojny, stworzył wspaniałe wojsko, w którem obok chłopa polskiego i szlachcica, służących w piechocie, znaleźli się cudzoziemcy: Niemcy, Szkoci, Węgrzy, a na stanowiskach kierowniczych nawet Włosi, Francuzi i Hiszpanie (12 kapitanów). Ciągnęła ich sława wojenna króla. Konnica polska, sławna husarja, otrzymała przepisy jednakowego uzbrojenia, tylko skrzydła i „inne ozdoby dla świetności, albo dla postrachu" każdy mógł mieć według upodobania.

Pomocnikiem króla był Jan Zamojski, który otrzymawszy godność kanclerza i hetmana, wziął na swe barki ciężar prowadzenia kancelarji państwa i sprawowania dowództwa. Potrafił jednak znaleźć na wszystko czas, a Iwanowi Groźnemu odpisywał nawet własnoręcznie i to w dwóch językach: polskim i łacinie. Zamojski był uczniem Batorego w sztuce wojennej, tak jak Batory uczniem hetmana w sprawach kierowania obradami sejmowemi. Współcześnie mawiano, że Zamojski bez króla nie idzie na wojnę, a król bez Zamojskiego na sejm. Obydwaj ci mężowie wzajemnie się uzupełniali.

W trzech wyprawach zdobył Batory Połock, Wieliż, Uświatę, Wielkie Łuki i w 1581 r. zamierzał wyprawę na Psków, silnie przez cara ufortyfikowany. Odcinał w ten sposób wojska moskiewskie, działające w Inflantach od ich podstawy operacyjnej. Nastraszony Iwan nękał Batorego pokornemi poselstwami z prośbą o pokój, ale bezskutecznie, gdyż nie chciał oddać Polsce Inflant. W końcu wysłał do króla Stefana list pełen wyrzutów. „My z Bożej, a nie z buntowniczej chęci ludzkiej Iwan pokorny, car i wielki książę wszystkiej Rusi. Doznaliśmy od poprzedników twoich, prawdziwych panów Polski i Litwy, umiarkowania; mieli oni wstręt do krwi... ty zaś nie wiesz, co chrześcijaństwo; Połock zdobyłeś zdradą, zdradą nie mieczem wojujesz i z jakiem nieludzkiem okrucieństwem?... Chcę spokoju, ty chcesz mordu...". Odpowiedział Batory: „Chełpisz się dziedzicznym tronem, nie zazdroszczę; wolę przyjść do korony zasługą... Mówisz, że się pastwię nad trupami, ty się pastwisz nad żyjącemi. Mówisz, żem zdrajca, ty, co fałszujesz traktaty!... Pokaż się, bożku moskiewski, tak zwany przez nieszczęśliwych niewolników! Czemu nie widzieliśmy cię dotąd w boju, ani twego świętego sztandaru, krzyża? Żal ci rozlewu krwi, to oznacz czas i miejsce, będziemy się bić osobiście, a Bóg uwieńczy zwycięstwem sprawę sprawiedliwego".

W liście tym przeciwstawione są odwaga i męstwo Batorego chełpliwości i okrucieństwu Groźnego.

Nie przyjął Iwan wyzwania na pojedynek, król zaś nie zwracając uwagi na jego dyplomatyczne zabiegi prowadził wojnę nieprzerwanie i 25 sierpnia 1581 r. stanął pod Pskowem. Na wyprawę tą wydał Batory wiele pieniędzy z własnych dochodów, zabrakło mu jednak 350.000 zł. na zapłatę dla wojska, to też na sejmie przemawiał do szlachty kilkakrotnie, wskazując, że gotów jest pobić „całą północ nietylko Moskwę". Uzyskał dwuletni podatek po złotemu z łanu, co uczyniło 2.000.000 zł. Oblężenie Pskowa prowadzone było energicznie, ale trudno było zdobyć twierdzę, której mury były rozległe, a sama strona północna wynosiła 8.000 kroków, załoga zaś liczyła 7.000 jazdy i około 50.000 zbrojnego ludu miejskiego. To też oblegających zaskoczyła pod murami okrutna jesień, a potem zima. Trzeba było niezłomnej woli króla i wytrwałości Zamojskiego, aby wytrzymać wszystkie niewygody, mróz, głód i w końcu doprowadzić do zaszczytnego traktatu w Zapolskim Jamie.

Sława wojenna była przewodnią gwiazdą Batorego, gwiazda ta prowadziła również naród do poświęcenia wszystkiego dla dobra ojczyzny. To była jasna i zwycięska droga króla w zapasach z narodem. Ale pozostawała jeszcze druga, ciężka i cierniami usłana, droga do sprawiedliwości i wymuszenia w narodzie posłuchu dla prawa, która wyciskała z ust króla gorzkie słowa: „wszedłem sam in miserrimum purgatorium (w najstraszniejszy czyściec), by nie szło o sławą puściłbym to królestwo". W Polsce ciężko jest królować, „bo gens nostra est avara".

Ciężką więc była korona dla króla i wydawać mu się nieraz musiała cierniową, skoro, kiedy mu proponowano, aby za swego życia zalecił swego synowca do tronu, odrzekł, że nie chce go wystawiać na jatki.

Bo też trudno było ująć za cugle samowolę możnych panów, czy też rozpasanych Kozaków i przyzwyczajoną do miękkich rządów jagiellońskich szlachtę. I tu wszczęła się pomiędzy królem a narodem walka na śmierć i życie. Już w czasie wojny z Moskwą ścięty został szlachcic litewski Grzegorz Ościk za zdradzieckie knowania z Iwanem, zagrażające życiu króla, dał również swą głowę pod miecz katowski i uosobiciel anarchji możnowładczej Samuel Zborowski, walczący pod Wielkiemi Łukami, a równocześnie przysięgający przez brata swego Krzysztofa wierność carowi za 1.000 talarów, — nie tylko za zdradę, ale i za nieprzestrzeganie prawa, kiedy jako banita tułał się po kraju nic sobie z wyroku poprzedniego króla nie robiąc.

Długi jest rejestr straconych przestępców i ukaranych gwałcicieli prawa. Stracony został kasztelan Iłgowski, Wołoszyn Iwan Podkowa, hospodarowie wołoscy Piotr i Jankula, 30 kozaków. Na sejmie r. 1581 król odsądził od czci 11 osób. W r. 1585 brat Samuela Krzysztof Zborowski skazany został na banicję i infamję.

Nie zawahał się Batory przypomnieć staroście lwowskiemu Herburtowi, kiedy ten na pozew Żyda nie chciał stanąć w sądzie, że zarówno „starosta i Żyd królewski jest".

Owo surowe i bezwzględne tępienie anarchji nie znalazło poparcia w całym narodzie. Szlachta nazywała króla „Batem", przekazując potomności przysłowie „za króla Stefanka strach było i panka".

Batory szedł swoją drogą. Nieczuły był na wołania narodu, kiedy ten chciał bronić przestępców, a ów bujny lot i temperament niesforny chciał skierować do wielkich czynów, starając się nagiąć szlachtę do swych wielkich planów: zajęcia Moskwy i pokonania Turków. Plany Wielkiego Króla podchwytywali monarchowie europejscy. Filip II, jednając go sobie, przysyłał mu order złotego runa i wspaniałe rumaki, papież Sykstus V pieniądze. Miał Batory stanąć na czele sił lądowych przeciw potędze półksiężyca.

Przedwczesna śmierć króla w grudniu 1586 r. położyła kres owym zamysłom. A za pełne poświęceń panowanie nastąpiła nagroda. Posypały się paszkwile na króla - okrutnika, co „podgolił mieczem" Samuela, skazał na banicję i infamję Krzysztofa, skończyła się prawie dziesięcioletnia, „niewola egipska". Zatriumfowali Zborowscy i ich adherenci, ale zapłakał Zamojski i ci, którym dobro narodu i przyszłość kraju leżały na sercu.

A kiedy po obiorze nowego króla, dwanaście koni wiozło ciało królewskie, kiedy długi orszak żałobny panów, duchowieństwa, szlachty i mieszczan z nieprzejrzanym lasem chorągwi województw, ziem i państw hołdowniczych prowadził po raz ostatni swego pana na Wawel — na wieczysty spoczynek, oddany został mu hołd przez tych, którzy go rozumieli. Czcił naród cześć króla żałobnym ceremonjałem, kiedy jeden dostojnik po drugim rzucał na posadzkę katedry wawelskiej części zbroi królewskiej z zapalonemi świeczkami, kiedy marszałkowie trzaskali o ziemię laski marszałkowskie, a kanclerze tłukli pieczęcie.

Ale w całości odczuł naród ogrom straty dopiero w latach niewoli, kiedy żył legendą wielkich czynów i przykładem silnych mężów. Stefan Żeromski wyraził to w słowach: „A oto przychodzimy wzdychać ku twojej królu Bolesława Chrobrego nad nami samowoli i żelaznej przemocy".

Dr. F. Skibiński

Z wycieczki do Norwegji

Nareszcie ukazują się nam skaliste, poszarpane brzegi Szwecji. Dwa dni i dwie noce tłuczemy się małym handlowym statkiem, naładowanym drzewem (choć się to dziwne wydaje, Szwecja, to ojczyzna lasów, sprowadza piękne, duże bale, zwłaszcza dębowego drzewa z Polski), który jeździ stale, pod polską flagą, ale z norweską załogą, między Gdańskiem a Stockholmem.

Podróż była dość monotonna, a skutkiem silnego kołysania tak małego statku na pełnem morzu, nawet nieco dokuczliwa. Z wielką też radością wjechaliśmy między mnóstwo skalistych wysepek, pokrywających gładką i spokojną powierzchnię morza tak gęsto, że człowiek, patrząc, zadaje sobie pytanie: czy więcej tu wody, czy ziemi? Niektóre, wysepki pokryte są ciemną zielenią lasów, nad któremi górują starożytne zamki, lub białe wille. Inne, bardziej płaskie, z granitowych skał zbudowane, zupełnie pozbawione roślinności, chronią jedynie niewielkie rybackie osady. Linja lądu stałego znaczy się wyniosłą zieloną smugą. Syrena naszego statku gwiżdże nieustannie, a on sam kręci się i dokonywa akrobatycznych sztuk, by żadnej wysepki nie najechać. W ten sposób dojeżdżamy do samego Stockholmu. Nie zwiedzaliśmy dokładnie tego przepięknego miasta, gdyż szlak nasz prowadzi zaraz dalej do Norwegji, celu naszej wycieczki. Przenocowaliśmy tylko i wcześnie rano czysty i wylakierowany jak cacko, pociąg niesie nas dalej. Jedziemy ciągle nad brzegiem jakiejś wody: są to albo szeroko rozlane potoki, o charakterze górskim, o wartkim biegu i pełne głazów, ale takiej szerokości, że nie powstydziłaby się jej nasza Wisła warszawska, albo znów ogromne jeziora, okolone zewsząd górami. Wogóle w całej Skandynawji niewidziałam nigdzie nawet 100 m^2 równiny.

Na razie były to góry o łagodnych kształtach i odkrywające się co trochę szerokie doliny gubiące się gdzieś w sinej dali.

Wodami wszędzie płyną bale drzewa, takie ich mnóstwo, że wydaje się, że cały las wycięto... A mimo to lasy gęsto pokrywają wzgórza. Starczy ich! Przy każdej osadzie widać tartaki. Nie darmo uczyli nas w geografji, że Szwecja, to kraj przemysłu drzewnego (miło czasem stwierdzić, że to czego uczą w szkole, występuje naprawdę w życiu!). Na tle ciemnej zieleni lasów odcinają się charakterystyczne drewniane domki o ostrych dachach, pomalowane na ciemny czerwono-kasztanowaty kolor, o oknach i drzwiach w jasnych, najczęściej białych, obramowaniach. Wszędzie pełno takich domków, nad niebieską taflą jezior, wśród lasów, nad brzegami rzek, w głębi dolin. Nadają one ogromną barwność i malowniczość temu leśno-wodno-górskiemu krajobrazowi.

Z krótkiego zetknięcia ze Szwedami, odnoszę jaknajdodatniejsze wrażenie. Uprzejmość wprost niesłychana. Można się rozmówić, albo po niemiecku, albo po angielsku. Zaraz z rana zjawia się w naszym przedziale konduktor i z uprzejmym uśmiechem pyta czy życzymy sobie mieć śniadanie? Oczywiście tak. Parę chwil później, gdy minęliśmy jakąś drobną stację, konduktor przynosi nam dwie tace. na których przygotowane są wspaniałe śniadania: w termosach gorąca kawa (wyborna), do niej śmietanka (w całej Skandynawji pije się kawę wyłącznie ze śmietanką), ugotowane jajka, kanapki z szynką, z sardynkami, z serem i jakieś słodkie bułeczki. Każdy przedmiot zawinięty w czystą białą bibułkę. Filiżanki, talerzyki, sztućce, aż lśnią od czystości. Zjedliśmy spokojnie, bez pośpiechu, przyszedł ten sam konduktor po odbiór tacek i zapłatę, jego to sprawa, uregulować to z restauracją stacyjną. A koszt tego śniadania? Bardzo mało co większy od tego co płacę za mętną rozlaną na spodek herbatę z cytryną, jaką podają mi „już słodzoną" w brudnej szklance, w Skierniewicach, wraz z bułką bez masła, nakrytą kawałkiem żylastej i przerażająco słonej szynki, z tem że muszę w ciągu czterech minut herbatę wypić i szklankę oddać...

Ta troska o wygodę, o dobrobyt publiczności jest charakterystyczną cechą, tak w Szwecji jak w Norwegji, i stwierdzaliśmy ją wszędzie. Dodaję, że byliśmy zwykłymi pasażerami III klasy.

Granicę Szwedzko-Norweską ledwo zauważyliśmy. Formalności prawie żadnych. Nikt nie musi wysiadać, nikt naszych kuferków nie przewraca. Pojawia się tylko inny konduktor, w innym mundurze, ale również uśmiechnięty. To wszystko. Ale rozmówić się teraz można już tylko po angielsku.

Przed samym dojazdem do Oslo (dawna Kristjanja) ogarnia nas pewien niepokój.

Pociąg nasz miał przybyć do Oslo o 8.45 wieczór, o 9-tej odchodzi nasz kurjer do Bergen z zamówionemi przez nas miejscami w sypialnym wagonie, który ma nas zawieść w głąb kraju, w góry. Tymczasem najwyraźniej będzie spóźnienie. Z przerażeniem stwierdzamy, że jest pięć minut po dziewiątej, w chwili, gdy nasz pociąg wjeżdża na stację. Trzeba będzie nocować w Oslo, stracić dzień czasu i zmarnować miejsca sypialne. Wysiadamy, mocno markotni. Tymczasem na nasze spotkanie biegnie jakiś funkcjonarjusz kolejowy: „Czy państwo do Bergen? — pyta po angielsku, sleepingiem?". — Tak, tak! „Proszę za mną, pociąg czeka na państwa, mieliśmy wiadomość, że dwa miejsca telegraficznie były zamówione ze Stockholmu, więc czekamy na przybycie pociągu ze Szwecji". Chwyta nasze bagaże i prowadzi nas z wielkim pośpiechem do stojącego i czekającego na dwóch pasażerów III klasy całego kurjerskiego pociągu. Oczywiście, ledwo się drzwiczki za nami zamknęły, pociąg ruszył.

A więc w tym kraju urzędnikom i całej kolejowej organizacji nie jest obojętny los zakłopotanej publiczności. W ich mniemaniu urzędnik, czy kolejarz, musi się zastanawiać nad wygodą podróżnych, musi dokładać wszelkich starań by im nie przysporzyć niepotrzebnych przykrości czy kosztów.

Jedziemy więc dalej wygodnym norweskim sypialnym wagonem. Jest tu zwyczaj, że na większych linjach nocą kursują wyłącznie wagony sypialne I, II i III klasy, innych niema. Po co ludzie mają siedzieć na twardych ławkach, kiedy mogą wygodnie spać?

Noc trwa krótko. Już o 5 rano dojeżdżamy do małej miejscowości w górach, stąd mieliśmy iść piechotą aż do Sognefjordu. Krajobraz już inny niż w Szwecji. Wielkie lasy znikły, a wszędzie jak okiem sięgnąć rozciągają się olbrzymie wzgórza skalne, morenowe, tak zwane tu „fjeldy". U dołu porosłe są gaikami brzozowemi i wierzbowemi. Na dnie głębokich dolin widać bujne zielone pastwiska. Linje szczytów górskich, wystających ponad fjeldy, znacznie łagodniejsze od krajobrazu alpejskiego, ale wszędzie widnieją lśniące w słońcu, białe korony lodówców.

Piesza wędrówka przez góry Norwegji jest niesłychanie zajmująca. Przedewszystkiem kraj jest tak pusty, że wyłączając kilka specjalnie sławnych turystycznych szlaków, nie spotyka się nigdy prawie nikogo. Zdanym się jest na łaskę wyłącznie swego zmysłu orjentacji, bo nawet map dokładnych niema wcale (musieliśmy się posługiwać mapą poglądową 1 : 600.000, oczywiście niedokładną). Ale za to świeżość, dzikość przyrody niezrównana. Szlak nasz prowadził, najpierw przez obszerną dolinę, w której według mapy było kilka wiosek. Prędko dotarliśmy do pierwszej z nich. Wioska? Prawda, napis ten sam co na mapie widnieje na urzędzie pocztowym, ale ona cała, łącznie z pocztą, składa się z pięciu domów! Później spotykaliśmy i dwudomkowe osady, a zawsze jedna chata jest pocztą i ma pretensję do ważności. W kraju tym, gdzie przestrzeni jest tyle, a człowiek rzadkością, fakt, że gdzieś stoi dom zamieszkały, czyni dany punkt ważnym i sprowadza nań opiekę cywilizacji, chociażby w formie urzędu pocztowego, który jest nieraz jedynym widomym znakiem połączenia ze światem.

W tych rzadko rozsianych wioskach, z których dzieci zimą idą do szkoły na nartach, bynajmniej nie mieszkają ludzie nieokrzesani i prymitywni. Przeciwnie, ich poziom kulturalny wprawia w zdumienie. Wstępowaliśmy niejednokrotnie do tych domków norweskich. Mieszkania ślicznie wewnątrz urządzone, nadzwyczaj czysto utrzymane. Zawsze jest rodzaj bawialni czy salonu, z miękkiemi wyściełanemi fotelami, z mnóstwem gracików rzeźbionych, półeczek, szafek, obrazów i fotografji. Zawsze jest w kącie duży kominek barwnie pomalowany, na którym nieraz i w lipcu, w pochmurny dzień, palą się smolne szczapy. Gospodarz i gospodyni ujmująco gościnni i uprzejmi. Częstują kawą, i niema mowy, by przyjęli zapłatę. Gdziekolwiek po drodze braliśmy mleko od górali, nikt nie chciał za nie brać pieniędzy. Podać szklankę mleka, to jak dać wody spragnionemu, uprzejmość i koniec. U jednego wieśniaka nocowaliśmy w gościnnym pokoju, który w zupełności zaspakajał nasze nowoczesne wymagania komfortu i to za minimalną, śmieszną wprost opłatą. W większych osadach jest zawsze gospoda-hotelik nadzwyczaj schludnie i wygodnie urządzony. Właściciel hoteliku traktuje podróżnych, jak bliskich przyjaciół. Raz, nocując poprosiliśmy o przepranie bielizny. Służąca zrobiła to w ciągu naszego pobytu, od wieczora do rana, przyniosła bieliznę ślicznie uprasowaną, skoro tylko wstaliśmy, a na nasze zapytanie ile się należy za pranie, roześmiała się, gospodyni zaś powiedziała: gdzieżby za taką drobnostkę ktoś brał pieniądze!.

Uprzejmość i koniec.

Gdy się służbie daje napiwki, (przyzwyczajona jest do bardzo skromnych) to jako podziękowanie służąca podaje rękę i żegna zarazem w ten sposób. Wiele jest w tem zachowaniu godności. Prostota obyczajów tu jest duża. Pewien cudzoziemiec opowiadał nam, że jechał kiedyś tramwajem, z podgróskiej miejscowości do Oslo, w tem wchodzi ciemno ubrany pan z teczką pod pachą, któremu większość obecnych



Dolina lodowca.

ukłoniła się. „Kto to jest?" pyta się konduktora. — To król, odpowiada. — Król? — A tak, jeździ prawie codziennie, ze swej górskiej willi, gdzie spędza lato, na posiedzenia ministrów, na różne sprawy, które załatwia w swym pałacu w Oslo; on dużo pracuje".

Jakoś u nas, gdy się myśli o królu, to nie widzi się pana z teczką jadącego tramwajem do biura i który „dużo pracuje"...

Inną jeszcze cechą Norwegów jest niesłychana uczciwość. Na wsi absolutnie nikt drzwi domu na noc nie zamyka. Złodzieje są zjawiskiem nieznanem.

Prawie wszędzie mogliśmy się rozmówić bo niemal w każdej wiosce, był ktoś, kto dzięki swej żeglarskiej przeszłości znał język angielski. Przytem ta część gór przez którą przechodziliśmy, aż do Sogne fjordu, należy do bardziej zamieszkałych części Norwegji. Fjord miał nas doprowadzić w głąb gór, w samo ich serce, tam gdzie leży największy w całej Europie lodowiec, Gostedalbrae.

Zejście z gór na fjord przedstawiało się bardzo ciekawie, a krajobrazowo cudownie.

Nagle, schodząc dość stromą ścieżką, kierującą się od dłuższego czasu, ku wylotowi doliny, dostrzegamy śród załamań górskich wąską, błękitną wstęgę, krętą jak wąż. Powoli w miarę schodzenia i zbliżania się naszego, rozszerza się ona, a z obu jej stron pokazują się prostopadle sterczące granitowe ściany. Na tej modrej, krętej żmiji, poruszają się małe stateczki, zupełnie jak zabawki dla dzieci.

To jedna odnoga Sognefjordu, który dzieli się na całe mnóstwo wąskich, drobnych zatok, wciskająccyh się głęboko między skały.

Dochodzimy szybko do przystani, tam uderzają nas stragany z różnemi południowemi owocami. Tak blisko gór i lodowców? Ale prawda, przecież ten fjord, to woda Oceanu, statek może stąd jechać wprost na drugą półkulę. Wsiadamy na statek i niedługo wypływamy na główny kanał fjordu. Jest szerszy, ale mimo to robi wrażenie jakiegoś szczelinowatego jeziora. W jednem miejscu niemal prostopadłe skały wznoszą się na 1000 metrów, w górę. Głębia tego fjordu podobno olbrzymia. Na szczytach gór błyszczą wieczne śniegi. Patrzymy w jedną stronę, gdzie góry są trochę niższe, a najdalsze giną w niebieskiej mgle — tam ocean! Patrzymy w stronę przeciwną, tam gdzie dąży nasz statek, — taśma wody się zwęża, ściany granitowe stoją jak groźna brama, a głębiej ostre szczyty w białej koronie — tam Jostedal.

Dziwna była ta noc spędzona na fjordzie. Widzieliśmy, jak słońce zaszło, oblewając niebo ognistą zorzą. Zachód wypadł nawet niezupełnie w zgodzie z moim kompasem, bo na północnej stronie nieba (były to pierwsze dni lipca). Mijają zwolna godziny tego pogodnego, letniego wieczoru, ale jakoś wcale się nie ściemnia. Godzina 11, wpół do 12-tej, 12, wciąż jest jasno, można na pokładzie swobodnie czytać. Godzina 1-sza. Czy mi się zdaje, czy jest teraz jeszcze jaśniej?

Niewątpliwie, robi się dnień, a noc się gdzie zapodziała. Zorza poranna łączy się z wieczorną, która jeszcze nie zgasła, słońce niedługo wstanie, bardzo niedaleko od miejsca, gdzie tak niedawno zaszło.

(Oceniliśmy później w górach wartość tej „białej nocy", gdy nas zaskoczyła w czasie jakiegoś błądzenia i nie okazała się żadną przeszkodą do dalszego marszu).

W kajucie naszego statku były czarne szczelne firanki na oknach, które tu zresztą widzieliśmy wszędzie, tak że resztę „białej nocy" przespaliśmy w zupełnej ciemności. Rano stanęliśmy w Skölden skąd się otwierała szeroka dolina, mająca nas zaprowadzić do lodowca Gostedal.

Lodowiec ten, mający 800 kilometrów kwadratowych powierzchni, jest największą masą śnieżną w Europie i ma już zupełnie charakter lodowców podbiegunowych.

Z brzegów zwiesza się 14 olbrzymich poszarpanych języków lodowcowych. Przez jeden z tych języków, Fabergbrae, spróbowaliśmy go zaatakować. Trudności było wiele pomimo użycia liny i czekana, gdyż w miejscu gdzie się język odłącza od głównej masy lodowej, jest on niesłychanie popękany i pełen zdradzieckich szczelin. Te pęknięcia i pozornie drobne zmarszczki, zbliska, przedstawiają się jak stożki i ściany lodowe dosięgające kilkunastu, a czasem kilkudziesięciu metrów. Między niemi, otwierają się wąskie czeluście, których dna nie można ani dojrzeć, ani obliczyć... W niektórych, lód jest zielono niebieski. Inne są śnieżno białe. Najgroźniejsze jest to, że niektóre z tych szczelin są przysypane „mostem śnieżnym": gdy się na taki most stąpnie, nie wiedząc o tem, śnieg się łamie i leci się w lodową głębię... Dlatego trzeba się wiązać liną, stukać czekanem w śnieżną ziemię i słuchać czy głucho nie dudni.

Ilość szczelin była tak wielka, że musieliśmy się ostatecznie cofnąć, rezygnując, choć z żalem, z przejścia w poprzek całego olbrzymiego lodowca, niebezpieczeństwo było bowiem w zapuszczaniu się dalej i to tylko w dwie osoby. Wróciliśmy więc do szałasu Fabergsaeter, u stóp lodowca, gdzie w nocy jeszcze nie opuściło mnie widmo „białej śmierci" lodowcowej.

Od doliny Jostedal, szliśmy coraz dalej w głąb gór, przez kraj coraz bardziej dziki i pusty.

W jednej takiej pustej, zdającej się nie mieć końca dolinie, ujrzeliśmy nagle zdala stado pasących się koni. Uradowalimśy się bardzo, bo było to właśnie po dłuższej wędrówce, w zupełnie odludnej okolicy, gdyż rozumieliśmy, że przy koniach będzie pastuch, a więc i możność zdobycia informacji i, poprostu pogadania z ludzką duszą.

Tymczasem dochodzimy do pastwiska, wszystkie konie podnoszą głowy, strzygą uszami, wszystkie wyciągają szyje w naszą stronę i idą za nami. Człowieka — ani śladu. Przeszliśmy całą łąkę, za którą podnosi się wysoki próg skalny. Tam prowadziła nasza dalsza droga. Konie odprowadziły nas do samych skał, patrzyły przyjacielsko, jak gdyby były stęskione do ludzi. A gdyśmy zaczęli drapać się na skałę, ostatecznie stwierdziwszy, że pastucha niema, stały czas jakiś patrząc za nami, a potem wszystkie, jakby na dany sygnał, zawróciły i pogalopowały do poprzedniego pastwiska. Wówczas ogarnęło nas uczucie dużego osamotnienia... Później w podobny sposób spotykaliśmy stado krów, również pasące się samo, zrozumieliśmy, że w tym kraju, gdzie ludzi mało, a niema strachu złodziei, bydło się pasie w górach bez pasterzy.

Najdzikszą jednak krainę poznaliśmy w okolicy jeziora Djupwand. Najpierw trzeba było ciągle walczyć z wodą. Olbrzymie szeroko rozlane potoki ustawicznie przecinały drogę. Trzeba było przechodzić je w bród. Niekiedy ze strumienia wychodziło się wprost na śnieg, którego wielkie płaty zalegały skały pomimo lata.

Wśród bezkresnych pól fjeldowych (granitowe rumowiska i wielkie głazy morenowe), gdzie miało się wrażenie, że są miejsca nie tknięte jeszcze ludzką stopą, trafiały się jeziora, pokryte gęstą krą, chrzęszczącą złowrogo. Na brzegach widniały gęsto płachty śniegu. Na tej wysokości niema już ani śladu roślinności, nad jeziorami jednak unoszą się całe chmary komarów. Komary te, zresztą nie kąsające, wprawiają w zdumienie. Jakto więc te larwy wylęgają się w wodzie o temperaturze 0^{0}? a skrzydlate owady, pierwsze kroki stawiają na pływającej krze lodowej? Komary te, to jedyny zresztą ślad życia. Dokoła tylko już królestwo głazów, rumowisk i lodu. Ogarnia poczucie podbiegunowej niemal północy; zewsząd czyha martwota, srogość, opuszczenie. Nigdzie przyroda nie dała mi równie surowego, posępnego nastroju, ale mimo to krajobraz ten posiada dla mnie jednocześnie jakiś niewysłowiony urok i piękno.

Jezioro Djupwand, ostatni etap naszej podróży, leży znacznie niżej. Mimo to jest całkowicie odludne. Ukazało się nam nagle, za wielkim progiem skalnym, z którego spadał z łoskotem i hukiem olbrzymi wodospad.

Jest tak ogromne, że przeciwległy brzeg ginie w mgiełce, oddalenia. Olbrzymi ten szmat wody otoczony jest z jednej strony większemi górami, z drugiej strony przechodzą one w łagodne wzgórza. Na szafirowej wodzie tu i owdzie widnieją granitowe wysepki. Pomimo cudownego położenia i bujnej roślinności pokrywającej dolną część gór, nigdzie nie widać ani śladu ludzkiego życia. Jak dowiedzieliśmy się później nad brzegiem tego olbrzymiego jeziora leży tylko jedna „saeter" szałas pasterski i jedno schronisko turystyczne.

Poza tem pustka zupełna.

Jezioro to jest przepiękne, a jednocześnie miało się dziwne wrażenie niezmiernego oddalenia od świata, od Europy, od całej cywilizacji wogóle.

Zresztą, to właśnie wrażenie, że się jest „gdzieś za światem", odczuwa się wszędzie w Norwegji; stanowi ono dla mnie jeden z największych uroków tego kraju, tak skądinąd ciekawego, i każe później zawsze do niego tęsknić.

Z. A. Wołowska

Doniosłość reformy konstytucji

Dawna Rzplta szlachecka upadła skutkiem splotu bardzo różnorodnych przyczyn, z których jedne tkwiły w niej samej, w wadach i niedomaganiach ustroju państwowego i społeczeństwa, inne zaś poza nią. Sprawiedliwe i bezstronne ocenienie wpływu każdej z tych przyczyn na upadek Polski jest jednem z najtrudniejszych zadań, jakie miała do rozwiązania nauka historji. Pogląd t. zw. historycznej szkoły krakowskiej, obciążający największą winą za katastrofę państwa polskiego w XVIII wieku sam narów polski, został przez dalsze badania uczonych, jak Korzon, Askenazy i inni, sprostowany w bardzo znacznym stopniu. Okazało się, iż wiele przyczyn i źródeł słabości, które szkoła krakowska uważała za zjawiska specjalnie polskie, istniało w innych państwach, które jednak nie doznały tragicznego losu Rzpltej. Ale jeden rys charakterystyczny Polska XVIII wieku dzieliła tylko z jednem państwem ówczesnej Europy, które też upadło niemal w tymsamym czasie, co Polska, mianowicie ze Świętem Rzymskiem Cesarstwem Narodu Niemieckiego. Była nim anarchja w państwie zorganizowana przez samą konstytucję, niemoc zupełna głowy państwa i skutkiem tego brak wszelkiego prawdziwego rządu, któryby był zdolny kierować losami państwa a zwłaszcza wydobyć z niego siły potrzebne do obrony przed zachłannością sąsiadów.

Ta wada zabójcza dawnej państwowości polskiej została uleczona zapóźno, gdy zaborcy rozporządzali już zbyt wielką przewagą potęgi materjalnej, by Polska mogła im skutecznie się oprzeć. Pokolenie, które usiłowało napróżno ratować ginącą Rzpltę przekazało następnym, które walczyły o jej odbudowanie, jako swój testament polityczny naczelne przykazanie o konieczności silnego rządu. Stopniowy jednak zanik zmysłu państwowego wśród narodu polskiego, będący następstwem półtorawiekowej niewoli, oraz naturalna reakcja na ucisk ze strony rządów zaborczych sprawiły, iż szerokie masy społeczeństwa polskiego zapomniały o wskazaniach twórców Konstytucji 3-go maja, Insurekcji kościuszkowskiej i Księstwa Warszawskiego.

To też, kiedy Sejm Ustawodawczy odrodzonego Państwa Polskiego zabrał się do nadania mu konstytucji, ogromna większość posłów myślała nie o umocnieniu państwa, lecz o zapewnieniu sobie jak największych wpływów na nie i o niedopuszczenie, by ktokolwiek mógł rządzić państwem bez nich lub przeciw nim. Dlatego konstytucja z 17 marca 1921 r. była kopją konstytucji francuskiej z r. 1875, pogorszoną jeszcze w szeregu punktów traktująccyh o uprawnieniach Prezydenta Rzpltej. Nienawiść partyjna jednych do Józefa Piłsudskiego, zaślepienie doktrynerskie drugich podały sobie ręce, ażeby z głowy państwa zrobić manekina do podpisywania układów ułożonych przez kogo innego. Konstytucja marcowa oddała całą istotną władzę sejmowi, jakkolwiek w stosunkach polskich sejm do wykonywania tej władzy był absolutnie niezdolny. Koniecznym bowiem warunkiem prawidłowego funkcjonowania rządów parlamentarnych, przewidzianych przez konstytucję marcową, jest istnienie stałej większości w parlamencie. Tymczasem sejm polski ze względu na wielkie przeciwieństwa społeczne, gospodarcze i kulturalne, a także ze względu na silne mniejszości niepolskie takiej większości nie wytworzył i w przyszłości dającej się przewidzieć wytworzyć nie będzie mógł. Rezultatem była beznadziejna słabość władzy wykonawczej, uzależnionej od dobrego humoru tych czy innych stronnictw, które wprawdzie nie były zdolne do stworzenia większości za rządem, ale bardzo łatwo mogły stworzyć większość przeciw rządowi.

Skutki anarchji u góry, niedługo dały na siebie czekać. Rozstrój finansów państwowych, katastrofa walutowa, rozprzężenie życia gospodarczego doprowadziły młode państwo polskie nad krawędź przepaści. Przewrót majowy r. 1926 zawrócił gwałtownie Polskę z drogi wiodącej do upadku i dał możność położenia trwałych podwalin pod potęgę i rozwój Rzpltej. Najpilniejsze potrzeby zostały zaspokojone; finanse państwowe zostały uporządkowane, waluta ustabilizowana, autorytet Polski na terenie międzynarodowym ogromnie wzmocniony. Pozostało jednak do rozwiązania zadanie najważniejsze, od którego zależy trwałość wszystkich innych już osiągniętych rezultatów.

Zadaniem tem jest dostosowanie konstytucji do istotnych warunków egzystencji państwa polskiego. Dla państwa otoczonego z trzech stron przez wrogich sąsiadów, bez naturalnych granic obronnych, jest kwestją życia lub śmierci posiadanie rządu silnego i trwałego, któryby mógł prowadzić konsekwentną i na dłuższą metę obliczoną politykę i któryby mógł wydobyć z państwa i społeczeństwa maximum sił moralnych i materjalnych. Takiego rządu sejm z siebie nigdy wyłonić nie będzie zdolny i dlatego rząd musi być oparty o czynnik od sejmu niezależny, o prezydenta Rzpltej, wybranego nie przez sejm, lecz przez ogół obywateli i będącego wyrazem ich woli. Będzie wówczas zapewnione jednolite kierownictwo nawą państwową po linji interesów i potrzeb Rzpltej jako całości, a nie interesów tych czy innych grup społecznych. Przeprowadzenie takiej reformy konstytucyjnej jest sprawą niezmiernie pilną, albowiem wszystko wskazuje na to, że wkrótce Polska będzie musiała stawić czoło wzmożonym atakom na całość swego terytorjum, a nawet na swą niezawisłość i swój byt państwowy. Gdyby w chwili krytycznej aparat państwowy Polski znajdował się w takim rozwoju, jak przed majem r. 1926, to wrogowie Polski mieliby robotę ogromnie ułatwioną. Świadomość obowiązków wobec państwa i narodu staje się na szczęście własnością coraz to szerszych kół społeczeństwa polskiego i przyczyni się niewątpliwie do przełamania oporu egoizmów grupowych i partyjnych, przeciwstawiających się przebudowie ustroju nieodzownej dla przyszłości Państwa Polskiego.

Tadeusz Wałek-Czarnecki.

NOWY PUŁK.

Nowozaciężnych wzywa On,
Pułk z nich uczyni nowy —
Czyli na życie, czy na zgon
Formuje szyk bojowy?

Czyli codzienny dźwigać trud,
Czy w marszu krwawić nogi?
Czy rozgrzać w duszy płomień złud,
Czy w bitwę gnać bez trwogi?

Czy z życiem walkę, z wrogiem bój
Przeznacza im w udziale?
Czy zwalczyć mają bezwład swój,
Czy w bitwy ginąć chwale?

Czy walka z życiem, czyli wróg
W grób wspólny ich zagrzebie
Rekrut przysięga Mu u nóg
W rycerskiej trwać potrzebie.

Marja Statler-Jędrzejewiczowa

Prawo i obyczaje walki

Ciężki i nędzny żywot wiódł nasz daleki praszczur, jakiś „małpolud wyprostowany" z przed 10.000 lat!

W czarnych tajniach puszcz czyhały na niego: kieł dzikiego zwierza, złowroga moc żywiołów, lub ostre zęby i mocne pazury innego człekozwierza. Wyrosły i ginący w wiecznej walce pokoleń za pokoleniami zrósł się z nią, z jej strachem i powabem, stała mu się ona nieodzowną potrzebą, instynktem wrodzonym, oddechem i pokarmem... I chociaż w długich tysiącach lat życie człowieka przybrało niesłychanie odmienne formy,... walka o byt pozostaje nadal najsilniejszym motorem istnienia, zmieniły się tylko obyczaje... Któż z nas nie czytał „Tarzana"? Komuż nie dzwoni w uszach, jego groźny, nieopanowany, a rozgłośny ryk zwycięstwa nad pokonanym wrogiem... Niejeden zapewne z napiętą uwagą śledził podstępne boje ludzi pierwotnych, kreślone piórem Londona („Przed Adamem"), z podziwem patrząc na bezwzględność ich walki i żywiołową radość zwycięstwa!...

Czy w dzisiejszym świecie drapaczy chmur, lasów kominów fabrycznych, gigantycznych budowli, wyrosłych na zgorzeliskach dawnych puszcz i cmentarzach dawnych przodków, — czujne oko wyśledzi zażartą walkę, czułe ucho zasłyszy radosny wrzask zwycięstwa?

Bezwątpienia! — Stworzona na skutek porozumienia jednostek ludzkich — cywilizacja przetworzyła oblicze zewnętrzne świata; instynktów ludzkich wykorzenić nie mogła!... Nieomylny kierunek rozwoju zamiast wyniszczyć je, najrozsądniej zaprzągł te motory życia w służbę coraz mocniejszej woli, zużytkował na nowe potrzeby...

Wszak i dziś zwyciężamy, upadamy, giniemy bez ratunku, lub panoszymy się władczo na najrozmaitszych polach życia... Tak, ale bezwzględność dawnej walki ujęła w żelazne karby prawa, wola zbiorowości i, biorąc w obronę słabszych, łagodząc przejawy walki i, w wielu wypadkach, stwarzając tylko jej pozory, wyzyskuje odwieczny instynkt i nie pozwala mu na żniwo krwi i krzywdy! Administracja, służba bezpieczeństwa, sądownictwo i t. d. i t. d. wszystko zmierza do ujęcia, nieustającej walki o byt gromad, czy jednostek, w ramy równości, lojalności i wartości społecznej, czyli wartości dla ogółu jednostek.

Najjaskrawiej zmianę obyczaju, jako następstwa cywilizacji, zauważyć można w sporcie, powołanym do życia przecież między innemi i dlatego, ażeby utrzymać sprawność bojową człowieka, stworzyć mu pozory walki, zahartować go w nich, wzmocnić.

Niekażdy upatrzy podobieństwo pomiędzy dzisiejszym meczem piłki nożnej, a zażartym bojem na kamienie ,oszczepy, czy pałki z przedwieczy... Wystarczy wmyśleć się w sens dzisiejszych igrzysk, ażeby obok niewątpliwych celów, zdrowotnych, przedewszystkiem stwierdzić, że są one łożyskiem instynktu walki, stworzonem przez rozsądek ludzkości...

Jakżeż rozgrywa się ta walka? Napiętnowano zasadzkę, podstęp!— Do walki wychodzą zawodnicy otwarcie... Przepis, niezłomny sędzia czuwa nad równością walki! Sam bój nie krzywdzi walcząccyh!... Jeden lub drugi zwycięża!... Zwyciężyć wolno mu środkami, uznanemi przez prawo pisane, lub zwyczajowe... Kiedy jeden z bokserów zamiast przyjętego powitania wymierzył nieprzygotowanemu przeciwnikowi cios, nokautujący, — zgromadzeni widzowie znokautowali w oburzeniu zwycięzcę, który pod naciskiem opinji musiał pozatem skończyć swą karjerę sportową... We wszelkich sportach bezlitosna dyskwalifikacja czeka za najmniejsze uchybienie prawu pisanemu, — przepisowi, zgodne potępienie opinji za przekroczenie prawa obyczajowego, — obowiązku lojalnej rycerskiej walki!...

Walka kończy się bezwarunkowo zdecydowanem uznaniem wyższej sprawności jednego, lub grupy zawodników. Jeśli się zdarzy jakieś okaleczenie, to wynika ono z przypadkowych zderzeń... Zwycięzca nie staje na istotnym, lub udanym trupie pokonanego i nie ryczy triumfalnie, — lecz... podaje rękę pokonanemu. Nierzadko ten, który przegrał, w żelazne kleszcze ujmuje żal, poczucie poniżenia, wyrastającą w głębi zawiść, i wydobywa z siebie uznanie dla lepszego... Niezawsze podanie ręki jest formułką! Bardzo często bywa serdeczną radością z wygranej „tamtego" i wewnętrznem zwycięstwem woli... Ten lekko drwiący uśmieszek, z jakim człowiek ogląda skłębione i buntujące się w cuglach woli żywiołowe, zwierzęce instynkty, protestujące przeciwko uznaniu przewagi pozornego wroga, — jest niejednokrotnie więcej wart, od zwycięstwa mięśni czy przypadku. Widz to sumienie walki zgniecie swą zbiorową wolą nieuczciwego zawodnika, lub przekupnego sędziego, rozpłaszczy ich mocą pospólnego gniewu. Na widok zaciętej walki, acz prawej i szlachetnej, wybucha zachwytem nawoływaniem zachęty i gromem pochwał dla uczciwego zwycięzcy, lub pokrzywdzonego przez los pokonanego zawodnika.

Powie ktoś: „Istnieją jednak współcześnie i takie formy walki, w których zwycięża zdrada i przekupstwo, w których zaślepiony tłum przesądza sprawę na korzyść gorszego przemocą i gwałtem".

To ostatnie drgawki zamierzchłych, puszczańskich czasów! Znane są ogólnie kaprysy przyrody, która powołuje w jednostkowych wypadkach do życia, dawno wymarłe formy i przejawy. Zwie się to zjawisko atawizmem...

Brutalność i zwierzęcość walki wraca w atawistycznych drgawkach w sporcie, owej doświadczalnej kuźni nowych form życia, jako bezustannej walki, — króluje nierzadko w samem życiu, przemykając się pod prawem i dobrem społecznem. Nieodmienny kierunek rozwoju — to prawo społecznego istnienia, poddające sobie z nieubłaganą nieustępliwością wszystkie instynkty, wyznaczające im jedyne, celowe łożyska i upusty.

Hasło „Niechaj zwycięża najlepszy", królujące dziś w sporcie, zawładnie i życiem. Inaczej nie wartoby żyć i pracować dla postępu ludzkości!

A. W.

Na progu skoczni i życia

(Dokończenie)

Nie rozmyślał jak i czem będzie ratował. Minął Kuźnice i wziął się odrazu w las. Wszystko wybaczył Lusi — byle tylko żyła! — Niech sobie chodzi z Zygmuntem, niech go nie zna, niech całkiem zapomni o nim, lecz niech żyje. Przypomniał sobie chwilę, gdy się poznali. Było to podczas zjazdu z Kasprowego. Lód, szreń, lśniąca się skorupa. W ciężkim trudzie jechał w dół. W kotle ujrzał narciarkę, istną ofiarę nart. Upadała raz wraz; — minął ją z nonszalancją, zgrabnym obskokiem się wywinął i zwiększył tempo, by zaimponować nieznajomej. Po chwili obejrzał się. Dziewczyna siedziała na śniegu z rozpaczą w oczach patrzyła w dół. Wrócił do niej, namówił, by odpoczęła należycie. Reszta zjazdu pod jego kierunkiem poszła niespodziewanie gładko. Nastąpiły dnie niesłychanie miłe. Uczył ją wszelkiego kunsztu narciarskiego.

Lusia miała cudowne warunki i pojmowała w lot. A potem wycieczki. Treningi do biegów. Przebiegli razem we dwójkę sporą ilość kilometrów, zwiedzili nie jeden szczyt. Trzy miesiące! Skąd ona wytrzasnęła tego pludrę?.. — Jeździ nie przymierzając, jak kanapa. Pewno wtajemniczała go w arkana techniki zjazdu, które on jej wpoił. Ale o tem postanowił nie myśleć. Odgrzebie ich, postawi na nagi i ulotni się jak dobry duch. Lecz gdyby?... Myśl o śmierci kochanej dziewczyny przeraziła go. Przeszyły go ostre i okrutne błyskawice; Uczuł jakby przedarła się w nim jakaś zasłona. Teraz oto patrzy prawdziwemu obliczu świata w twarz!

Miłość i śmierć. — Oto stoi wobec czegoś ogromnego, lecz zrozumiałego. Bolesna duma powstaje z dna serca... Trwało to chwilę niepomiernie krótką.

Dobijało go wytrzeszczone słońce. Zlany potem przystanął, zdjął kurtkę i koszulę, przewiązał się niemi w pasie. I znowu biegł. Beztroska radość widzialnego świata męczyła go okrutnie. Bezczelny oślepiający połysk grani, szafir nieba, zieleń młodych świerków, urągają jego nieszczęściu.

Paru zakosami pokonał strome zbocza, wywinął się łukiem przez wysokopienny bór i niebawem znalazł się w dolinie. Jeszcze parę wzniesień i zatrzymał się nawprost wklęsłego zbocza. Ujrzał cienką nitkę śladu wijącą się zakosami, trzy czarne ruchome punkciki, widocznie pierwszą pomoc, a wyżej w spiętrzonych partjach szczytowych matowo szary wachlarz lawiny. Wyżej jeszcze czarna krecha, miejsce urwania się śnieżnych mas, a nad tem pień i niebo.

Wyrwał dalej. Wpatrzony w miejsce katastrofy obmyślał trzeźwo sposoby ratunku. Pot spływał z czoła, zalewał i szczypał oczy, tętna waliły w skroniach i szyi! Serce miotało się bez opamiętania. Szybko

Gruźlica a Społeczeństwo

Gruźlica jest jednym z największych wrogów ludzkości, i dlatego też obowiązkiem każdego jest poznać dokładnie, jakie straty ponosi społeczeństwo w walce z tą chorobą. Dla dokładniejszego omówienia tej sprawy konieczne jest choć krótkie określenie, co to jest gruźlica.

Pod nazwą gruźlicy rozumiemy schorzenie wywołane przez lasecznik Kocha, nazwany tak, gdyż wykrył go Robert Koch w roku 1882. Lasecznik ten sprowadza zmiany chorobowe w różnych narządach ciała, jak np. płucach, kościach, skórze, oponach mózgowych, nerkach. Prawie niema narządu, gdzieby nie spotykały się zmiany przezeń wywoływane.

Najczęstsze jednak jest gruźlicze schorzenie płuc, tak zwane suchoty. Gruźlica znana była już lekarzowi greckiemu Hipokratesowi, lecz rozwój jej — a zwłaszcza gruźlicy płuc — przypada na początek dziewiętnastego stulecia, gdyż w tym czasie rozwój przemysłu i gwałtowny napływ ludzi do wielkich miast wytworzył warunki sprzyjające rozwojowi tej choroby. Ciężka praca w lokalach źle wentylowanych, alkoholizm, ciasne, małe i brudne mieszkania, złe odżywianie, brak słońca i czystego powietrza, to wszystko sprzymierzeńcy tej strasznej choroby.

Bardzo słusznie powiedział ś. p. prof. Sokołowski[1]), że „im w gorszych warunkach społeczno-ekonomicznych żyje dane społeczeństwo, tem częściej jego członkowie zapadają na gruźlicę".

Cały szereg statystyk popiera to powiedzenie. Dla orjentacji przytoczę dane zebrane przez dr. Körösy w Budapeszcie. Na 100 tys. ludności zmarło na gruźlicę 40 zamożnych, 62 średnio zamożnych, 77 biednych, a 97 nędzrarzy. Na tej zasadzie powiedzieć można, że gruźlica czyni największe spustoszenie w sferach ubogich, czyli w t. zw. proletarjacie.

W drugiej połowie dziewiętnastego stulecia daje się zaobserwować spadek śmiertelności spowodowanej gruźlicą. Przyczyna leży w tem, że w tym czasie zaczyna się przeprowadzanie kanalizacji w miastach, zakładanie parków, budowa higjenicznych mieszkań i co najważniejsze poprawa warunków pracy.

Równocześnie rozpoczyna się walka o zdrowie ludzkości. Coraz częściej podnoszą się głosy o konieczności zwalczania gruźlicy. Powstają specjalne instytucje mające na celu walkę z tą chorobą, organizuje się kolonje letnie dla dzieci, sanatorja i lecznice, w czem obok jednostek i składki dobrowolne całych społeczeństw dużą odegrały rolę.

Ludzkość zdała sobie sprawę z ogromu strat ponoszonych w walce z gruźlicą!...

I jeszcze jedno trzeba podkreślić, że w tym czasie medycyna dzięki Villemin, Kochowi i innym zdała sobie sprawę z tego, co to jest gruźlica rozwoju choroby, że wkońcu muszą porzucić wszelkie zajęcie i pozbawione i rozpoczęła z nią walkę celową, bo jeszcze w początku 19 stulecia walkę prowadzono nie z chorobą, a jak podaje Sterling „z chorym". Jako przykład może posłużyć fakt, że gdy Chopin chory na suchoty przebywał na Majorce w r. 1884, na zasadzie przepisów sanitarnych został wyrzucony z mieszkania, a w Barcelonie kazano mu zapłacić za łóżko, na którem spędził noc, gdyż przedmioty używane przez suchotników kazano palić.

Trudno sobie wyobrazić poprostu, jak przedtem była rozpowszechniona gruźlica, jeżeli właśnie w tym okresie zmniejszenia się jej nasilenia prof. Sokołowski podaje, że w Warszawie na 17 zgonów 2 wywołane były gruźlicą.

Taki stan rzeczy trwał do wojny europejskiej, w czasie której znów rozpoczyna się triumfalny pochód gruźlicy. Złe odżywianie, fatalne warunki mieszkaniowe, brak środków materjalnych na kurację, sprawiają, że obok tysięcy ginących na frontach, setki umierają powolnie w dalekich od frontu wsiach i miastach. Huczą działa. Na ustach wszystkich są nazwiska tych, czy innych bohaterów. Coraz więcej dekorowanych, coraz więcej zwycięstw, a w białych salach szpitalnych z każdym miesiącem wzrasta ilość dogorywających na gruźlicę. A i wśród walczących trud i niewygoda rujnują wiele słabszych organizmów, dając tło, na którem zaczyna się rozwijać ta choroba.

Polska była w gorszych warunkach, niż inne narody. Po zakończeniu wojny europejskiej, tak bardzo dającej się we znaki wszystkim prawie dzielnicom naszego kraju, rozpoczęliśmy budowę państwowości, przyczem cała energja społeczeństwa i narodu musiała być zużyta na utrzymanie niepodległości.

Nic więc dziwnego, że gruźlica jak i inne choroby, zaczęła znów szerzyć się w zastraszający sposób. Warszawska statystyka (dr. Sokołowski) daje 2 zgony z gruźlicy na 7 zgonów.

To też, gdy tylko został zawarty pokój, znów rozpoczęła się intensywna praca tem owocniejsza, że popierana przez Rząd i samorządy miast i miasteczek. Powstają tak zwane ośrodki zdrowia, przychodnie przeciwgruźlicze, zwiększa się rok rocznie ilość kolonji letnich i obozów wakacyjnych, powstają Kasy Chorych umożliwiające leczenie najszerszym warstwom społeczeństwa.

A teraz zatrzymam się chwilę nad tem, dlaczego społeczeństwo musi walczyć z gruźlicą?

Gruźlica szerzy się najwięcej wśród dzieci i młodzieży, sprowadzając śmierć tylu młodych istot, które mogłyby pracować owocnie dla społeczeństwa. Tych strat nie da się powetować. Następnie cały szereg osób, mimo iż udało się je utrzymać przy życiu, nie jest w stanie normalnie pracować. Jedne z nich męczą się przez całe dziesiątki lat, to pracując, to lecząc się naprzemian, inne, pozornie zdrowe, doprowadzają do takiego

---

[1]) Dr. Alfred Sokołowski ur. w r. 1849 umarł w 1924 r. Mimo, iż sam był chory na gruźlicę, całe życie poświęcił na badanie tej choroby. Był jednym z założycieli Tow. Przeciwgruźliczego, oraz sanatorjów w Rudce i Zakopanem.

---

zbliżał się do trójki idącej z przodu. Co chwilę kładł na rozpaloną głowę czapy ze śniegu, zacinał zeschłe wargi i nieustawał. Co chwila, pytanie: żyje — nie żyje. — Choć podsycał nadzieję, — nie wierzył. Przynajmniej dwie godziny upłynęły od chwili nieszczęścia. Gdy dotarł do czoła lawiny, trzech narciarzy sondowało kijami zbite kopce śnieżnego rumowiska. Przystanął, by nabrać tchu, włożył koszulę i ruszył z pomocą. Było samo południe. Prażone słońcem bryły nie stwardniały jeszcze na kamień. Szybko porozumiał się z turystami. Podzielili przestrzeń na wąskie pasy i systematycznie zaczęli pracować. Odwalili wypiętrzone najbardziej kopce, sondowali kijkami metr po metrze, nartami kopali studnię, w milczeniu, z uporem, zajadle.

Nie upłynęła godzina, gdy dojrzeli nadchodzące śpiesznie pogotowie ratunkowe. Nie było nad czem namyślać się. Kierownik rozdzielił pracę, znalazły się łopaty i stalowe druty do głębokich sondowań. Władek nie ustawał ani na chwilę. Z rozmów, które dokoła niego prowadzono, przekonywał się, iż niema nadziei. Mówiono o zasypanych już jako o umarłych.

Słońce schowało się za grań i odrazu wtargnął wraz z cieniem mróz. Ręce drętwiały, a buty stały się niczem z blachy, twarde. Lawina kostniała w biały betonowy mur. Grań błyskała jeszcze lustrem szreni.

Nagle kierownik pogotowia spojrzawszy na pobliską przełęcz, zawołał:

— Hola! Widzicie tam ślad nart! — i wskazał ręką miejsce obrywu lawiny. Wszyscy jęli wypatrywać.

— Niechno który skoczy i zobaczy — a może...

Nieskończył jeszcze, gdy z poza przełęczy wybiegły dwie postacie na nartach i odrazu pojechały w dół. Od siebie i do siebie łuki, obskoki, telemarki. Migiem nadjechali do grupy ratowników. Chłopak i dziewczyna. Twarze spalone na ciemny mahoń, usta roześmiane z uciechy zjazdu, z mięśni wypoczętych; przystanęli i z przestrachem spojrzeli na ludzi, narzędzia i dokonaną pracę.

Władek, gdy dojrzał Lusię zdrową i całą, nie czekał na koniec przemowy rozżartego kierownika, który młodą parę zmieszał z błotem, zwymyślał za karygodną opieszałość, iż nie raczyli nawet wrócić i dać znać, iż szczęśliwie uniknęli katastrofy, wyrywając z pod nóg lecącej lawinie — zrobił obskok i strzałą runął w dół.

Los go wystrychnął na dudka. Powinien się cieszyć, a był wściekły, jak nigdy. Coś takiego! — Więc jakże to: on porzuca konkurs, który miał decydować o jego karjerze sportowej, pędzi jak szalony, przez pół dnia dziurawi śnieg, rozpacza ,omal nie płacze, — a ona w najlepsze sobie żyje! — Kropnął się głową w śnieg i to go nieco ochłodziło. Przecież nie życzył jej śmierci! — Tfu do djabła! — I znowu stanął na głowie. Nawet nie przejął się tem, co sobie pomyślą tam, na górze, o jego jeździe. Najlepszy technik — Władysław Bukowski tak „patałaszy".

możności zarobkowania stają się ciężarem dla swych najbliższych i społeczeństwa.

Niemiecka instytucja „zabezpieczenia robotników od starości i chorób" podaje, że niezdolność do pracy wśród robotników rolnych wynosi 11% z powodu gruźlicy, a procent robotników zatrudnionych w miastach niezdolnych z tego powodu do pracy dochodzi do 50. Nasze statystyki mówią tosamo, podając przerażająco wielkie liczby godzin roboczych utraconych z powodu gruźlicy.

Dodać jeszcze należy, że z t. zw. inteligencją pracującą jest niewiele lepiej. I tu cały szereg wartościowych i zdolnych do pracy twórczej jednostek ginie przedwcześnie. Warto przytem w tem miejscu przypomnieć, że wielu z naszych sławnych ludzi zmarło na gruźlicę, np. Chopin, Słowacki i in.

Tych kilka słów podanych przeze mnie smutne musi wywołać refleksje u myślącego czytelnika. Nie chodzi mi jednak o przerażenie nikogo, a tylko o to, aby każdy jasno zdawał sobie sprawę z ogromu niebezpieczeństwa.

Przecież za lat kilka, czy kilkanaście każda z czytelniczek i każdy z czytelników stanie do pracy dla społeczeństwa i ludzkości. Warto więc zdać sobie sprawę ze wszystkich naszych bolączek. Tembardziej, że sprawa walki z gruźlicą ma ścisły związek z podnoszeniem kultury społecznej.

Im wyżej kulturalnie będzie stało społeczeństwo, im higjeniczniej będziemy żyć, mieszkać i pracować, tem mniej będzie straszna dla nas gruźlica.

Medycyna z każdym rokiem idzie naprzód: promienie Roentgena umożliwiają dokładne poznanie choroby w jej zaczątku, istnieje już szczepionka, zabezpieczająca niemowlęta od gruźlicy, co może oddać wielkie usługi, jeżeli chodzi o ratowanie dzieci pochodzących od rodziców chorych na gruźlicę, powstają coraz to nowe metody leczenia tej strasznej choroby, ale to nie wszystko.

Do walki z gruźlicą musi stanąć nietylko całe społeczeństwo, ale cała ludzkość. Nie wystarczy jeden lub kilka datków, ofiarowanych wspaniałomyślnie na Tow. Przeciwgruźlicze, czy inną instytucję w tym rodzaju — trzeba samemu wziąć udział w tej walce. Narazie zadanie nie jest trudne. Wystarczy żyć higjenicznie i wywierać wpływ na swoje otoczenie. Wystarczy pamiętać, że przebywanie w lokalach źle wentylowanych, brak powietrza i słońca, alkoholizm i niedostateczne odżywianie, to najwięksi sprzymierzeńcy gruźlicy.

Jak mówi dr. Sokołowski, walka z gruźlicą to „podnoszenie ogólnej kultury", wszyscy więc musimy wziąć w niej udział, tembardziej, że wiele jeszcze jest do zrobienia. I wierzyć trzeba, że może nadejdzie moment, gdy wszystkie państwa, zamiast wydawać miljardy na łodzie podwodne i gazy trujące staną ramię przy ramieniu do walki z tym okrutnym wrogiem ludzkości jakim jest gruźlica.

Dr. med. Stefan Ochorowicz



Zmarzły staw.

Nawet nie otrzepał się ze śniegu, tylko taki biały jak młynarz, mknął przez dolinę. Mijał narciarzy powracających, uśmiechniętych, wesołych z tak pięknie przeżytego dnia.

Wrócił pod odskocznię, na miejsce ruiny marzeń o dalekich jazdach, nieznanych miastach, górach, o nagrodach zdobywanych wśród obcych, triumfach.

O zmierzchu powlókł się do domu. Urzędowym stylem złożył sprawozdanie z przebiegu akcji ratunkowej, bąknął o niespodziewanym zakończeniu i przełknąwszy coś niecoś, zaszył się w swojej izdebce. Ofuknął młodsze rodzeństwo, które przez zamknięte drzwi dopytywało się o wyniku konkursu. Postanowił zrobić bilans poniesionych klęsk. Rezultat okazał się nader smutny. Właściwie winien był wszystkiemu sam. Poco się zakochał. Czyż Lusia temu winna? Cośkolwiek może. Ale gdyby nie ta głupia miłość, nie goniłby dzisiaj jak kot z pęcherzem. Najbardziej jednak dokuczała myśl — podejrzenie: jest złym człowiekiem, niema co taić przed sobą: zbrodniarzem.

Złapał się na tem. Czyżby życzył sobie naprawdę śmierci Lusi?

W trzy dni potem obładowany dwoma parami nart, walizką, wtarabanił się do pociągu. Zastał tam wszystkich członków ekspedycji zagranicę. Kierownik wyprawy powitał go z uśmiechem i wręczył paszport.

Nocą, gdy brać narciarska posnęła, a pociąg, dudniąc, gnał w wymarzony nieznany świat, Władek obudził się. Przez zamarznięte szyby raz wraz wpadały światła różnokolorowe. Zbliżali się do wielkiego miasta.

Mimo wszystko zaliczono go do czołowej grupy. Po naradzie w komisji sportowej otrzymał list z poleceniem, by tego a tego dnia znalazł się na dworcu kolei. Lusi nie spotkał więcej. Wobec ogromu przygotowań, narad z kolegami nie znalazł chwili czasu by się pożegnać. Pierwotnie zamierzał wypalić Lusi kazanie, wzgardzić i odejść. Zamiar spełzł na niczem, ochota wywietrzała i jakoś obeszło się bez tak petetycznego finału.

O jakiejś porze dnia minęli granicę. Noce i dnie w pociągach, krótkie wypady w miasta pełne gwaru i ruchu. Góry nieznane, rzeki i obyczaje. Władek zapomniał o zmartwieniach i jechał po sławę. Z widmem miłości i śmierci, zetknął się, ale jakże krótko i nieistotnie. Co mu przyniesie sława?

W tydzień później Lusia otrzymała widokówkę tej treści:

„Droga Lusiu! — Tutaj jest ślicznie i szkoda, że nie możesz być z nami. Jestem siódmy w skoku, przedemną sami norwedzy. Zdejmowali mnie do kina. Jedziemy jeszcze do Pontresine. Uważaj na lawiny. Przywiozę Ci świetny smar.

Ściskam dłoń — Twój Władek.

Rafał Malczewski

OSADY LUDZKIE NA BIEGUNIE PÓŁNOCNYM

W ostatnich czasach świat naukowy poświęcił dużo uwagi enuncjacjom znakomitego badacza stref polarnych Wiljermura Stevensona, które podróżnik ten wygłosił niedawno w Cambridge. Zanim jednak przejdziemy do jego poglądów, zatrzymamy się przez chwilę na osobie niezwykłego badacza. Stevensona jest kanadyjczykiem, rodem z Manitoby, lecz rodzice jego byli emigrantami z Islandji. Urodził się lat 50 temu i studjował na uniwersytecie w York, w Stanach Zjednoczonych. I tak jak w starożytności siedem miast rościło sobie pretensje do obywatelswa bohatera — tak dziś pięć krajów mogłyby pójść za ich przykładem. Mogłyby się o niego spierać: Islandja, jako miejsce urodzenia jego rodziców, Danja, ponieważ Islandja leży w jej posiadłościach, Kanada — tam bowiem Stevenson ujrzał światło dzienne. Imperjum Brytyjskie, którego Kanada jest częścią i wreszcie Stany Zjednoczone — gdyż tam uczył się znakomity badacz krajów polarnych. W latach 1906 — 1907. Stevenson brał udział w polarnej ekspedycji etnograficznej pod kierownictwem duńskiego uczonego Mikkelsena, a później stał się samodzielnym badaczem. Światową sławę zdobył po pięcioletniej wędrówce z eskimosami (1908 — 1912), podczas której odkrył na dalekiej północy pod 80 stopniem szerokości geograficznej nieznane dotąd plemiona. W r. 1918 Stevenson przedsięwziął wyprawę do wód oceanu Lodowatego, sąsiadujących z północnemi brzegami Ameryki; wykazał on wtedy iż wielkie terytorjum znane pod nazwą „Ziemi Kenana", które miało się znajdować w tych stronach — wogóle nie istnieje. Nie istnieje również „ogromna ziemia Krokera", którą odkrył w 1909 r. Purie, kiedy to miał on rzekomo dotrzeć do bieguna północnego, od strony ziemi Grawa, znajdującej się na skrajnej północy Grenlandji. Dziś Stevenson jest „tylko" profesorem — zapewne jednak nie na długo. Przybył on do Cambridge, ponieważ był zaproszony przez ten uniwersytet w celu wygłoszenia dwóch odczytów. Tematem tych wykładów są nowe poglądy znakomitego badacza na kraje polarne i ocean Lodowaty. Według mniemania Stevensona, ocean ten stanie się w najbliższej przyszłości trasą powietrzną, na której przecinać się będą linje komunikacyjne, łączące trzy kontynenty — a jednocześnie zaludnią się pustynne dotąd wyspy.

Kraje polarne nie są bynajmniej tak absolutnie niedostępne — jak głosi fama, oddawna rozpowszechniona i podtrzymywana w ciągu wielu stuleci przez badaczy północy. „Niedostępny", „nieruchomy", i „wiecznie zamarzły" biegun północny — to również tylko fantazja szerokiej publiczności, poparta milczącą zgodą licznych podróżników. Dotychczas — ciągnie dalej znakomity podróżnik — zamiast ścisłych wiadomości, rozpowszechniano o strefach polarnych pseudo-naukowe informacje. I rezultatem tego jest fakt, iż większość wykształconej publiczności kojarzy słowa „biegun północny" z obrazem kraju, skutego wiecznemi lodami. Wyobraźmy sobie poprostu olbrzymie terytorjum, w centrum którego znajduje się biegun. Nawiasem zauważymy, iż w ten sposób przedstawiał sobie biegun p:łnocny nietylko Coock lecz i Purie. Obaj pretendowali do tytułu zdobywców bieguna w r. 1909. Podczas jednak, gdy pierwszy z wspomnianych badaczy został zdemaskowany i zakończył haniebnie życie w więzieniu amerykańskiem, to drugi został udekorowany przez różne kraje medalami za wyczyn, którego nie mógł dokonać. Miał on bowiem zbyt mało czasu, by dotrzeć od Ziemi Granta do bieguna północnego. Jak utrzymywał znakomity podróżnik, robił on dziennie około 40 mil (ang.), podczas gdy 5 — 6 mil stanowi maksimum możliwe do osiągnięcia. Dziś wspomnianemu twierdzeniu słynnego podróżnika moglibyśmy przeciwstawić jeszcze jeden argument: oto mianowicie, cała przestrzeń od Ziemi Granta do bieguna północnego nie jest bynajmniej pokryta jednolitą warstwą lodu, lecz wypełniają ją pływające pola lodowe i wędrujące lodowce, pomiędzy któremi znajdują się odstępy „wolnej wody". Niemożliwą jest tutaj rzeczą, maszerując po lodach, osiągnąć biegun północny od strony Ziemi Granta, co wynosi 800 kilometrów w linji powietrznej. Teorja głosząca , iż biegun północny znajduje się gdzieś na „nieruchomych" i „niedostępnych" polach lodowych, przeszła już do archiwum. Musimy również zmienić zdanie, iż biegun północny jest najzimniejszym punktem na naszej półkuli — mówi Stevenson. Niska temperatura danego miejsca jest bowiem uwarunkowana obecnością 3-ch przyczyn: 1) odległością od równika, 2) oddaleniem od oceanu i 3) wysokością nad poziomem morza. Biegun północny czyni zadość tylko jednemu z tych warunków: odległości od równika, nie jest jednak zbytnio oddalony od oceanu, ponieważ znajduje się na oceanie. Według obliczeń Stevensona, zimą w ciągu ostatnich 1000 lat temperatura na biegunie północnym nie spadała niżej 55 — 60 stopni. Innemi słowy, fakt ten oznacza, iż w południowych okolicach strefy podbiegunowej jest o wiele chłodniej niż na biegunie północnym. Do jakich wniosków dochodzi Stevenson na podstawie wyłuszczonych poglądów? Otóż pierwszym i niewątpliwie najważniejszym wnioskiem jest ten, iż zimno bynajmniej nie jest przeszkodą dla zaludnienia wysp, znajdującym się na Oceanie Lodowatym. Kraje polarne są równie dostępne, jak i miejsca znajdujące się na południe od nich. Tak np. w Kanadzie stałe osiedla ludzkie znajdują się w tych miejscowościach, w których jeszcze 20 lat temu była pustynia. Wtedy uważano również, iż na skutek zabójczego zimna w miejscowościach tych nigdy — póki świat będzie istniał — nie osiedli się żaden człowiek. Dziś panuje pogląd, iż ludzie mogą się osiedlać tylko w tych miejscowościach, w których istnieją jakieś możliwości utrzymania. Odnośnie do wspomnianych okolic Kanady, warunek ten można uważać za spełniony, gdyż w Kanadzie, w „zamarzłej" pustyni hoduje się olbrzymie stada jeleni północnych. Wywody Stevensona wskazują niewątpliwie, iż dziś, z chwilą powstania nowych powietrznych dróg komunikacyjnych, najbardziej na północ wysunięte ziemie, t. j. wszystkie wyspy oceanu Lodowatego — powinny stać się rychło osadami ludzkiemi.

Ł. Ron.

CZY TĘPIĆ WYRAZY OBCE?

Każdy, nawet zupełnie daleko stojący od badań językowych, zdaje sobie sprawę, że spotyka ustawicznie w lekturze i mowie codziennej, a i sam używa wyrażeń obcych, wyrażeń, o których może nie potrafi powiedzieć, dlaczego uważa je za obce, ani tembardziej z jakiego niepolskiego języka pochodzą, ale jednak poznaje, „odczuwa" ich obcość.

Czy uświadomiwszy sobie fakt istnienia w języku naszym wyrazów obcych należy zwalczać ich używanie, wypowiedzieć im wojnę w imię czystości języka? Czy walka taka ma widoki powodzenia, a przedewszystkiem czy ma s e n s?

Obrońcy czystości języka t. zw. puryści [1]) istotnie zwalczają obce naleciałości w języku i zdawałoby się słusznie, bo w wielu przypadkach wyrazy obce dadzą się zupełnie dobrze zastąpić polskiemi. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że jest możliwe zupełne „oczyszczenie" języka od wyrazów obcych i że do tego dążyć należy. Pomijając już okoliczność, że b. trudna byłaby ścisła klasyfikacja wyrazów nadających się do bojkotu, gdyż posiadamy wiele wyrazów obcych tak przyswojonych, że tylko specjaliści wiedzą o ich obcem pochodzeniu, ale nawet jeśli pozostaniemy przy tych wyrazach, które wszyscy bez specjalnego przygotowania naukowego odczuwamy i rozpoznajemy jako obce, okaże się po bliższem rozpatrzeniu, że i tu nie można i nie trzeba bezwzględnie usuwać wyrazów tylko dlatego, że są obcego pochodzenia. Nie należy tego czynić przedewszystkiem w tych przypadkach, kiedy rezultat wymiany nie przyniósłby korzyści. Kiedy się to dzieje? Mowa ludzka jest narzędziem porozumiewania się ludzi między sobą. Wszystko, co utrudnia to porozumiewanie się jest niekorzystne i właśnie są przypadki, w których zastąpienie wyrazu obcego przez polski utrudnia porozumienie. Dotyczy to w pierwszym rzędzie t. zw. terminów naukowych i technicznych. Po zbadaniu ich rodowodu przekonamy się, że są pochodzenia greckiego lub łacińskiego z czasów starożytnych, albo też w miarę rozwoju nauk i techniki tworzone były z pierwiastków językowych greckich lub łacińskich w tym celu, ażeby przez ogół wykształcony na grecko-rzymskiej kulturze mogły być zrozumiane. Przy dalszem badaniu przekonamy, się że terminy te przyjęte zostały przez wszystkie języki europejskie lub ich większość i tu właśnie widzimy ogromny zysk: termin, z którym zapoznajemy się w języku ojczystym, w którym należy do wyrazów obcych) znajdujemy w tem samem znaczeniu w innych językach, przy lekturze dzieł z zakresu danej gałęzi wiedzy. Jest to olbrzymia oszczędność wysiłku zwłaszcza w tych nau-

[1]) Od łacińskiego wyrazu: p u r u s — czysty.

kach, które wymagają ściśle określonych terminów, z trudnością często definjowanych.

Próby wprowadzenia terminów polskich do różnych nauk były u nas podejmowane, ale bezskutecznie. Próbował tego przedewszystkiem Bronisław Trentowski (1808 — 1869), ale ani jego „myślini" nie wyparła logiki, ani „rozbierz" nie weszła na miejsce analityki, ani „całokształć" nie zastąpiła systematyki, ani „chowanna" systemu pedagogiki.

Konsekwentna wymiana wszystkich terminów naukowych o obcych pierwiastkach językowych na wyrazy ojczyste czyni czytanie dzieła pisanego we własnym języku trudniejszem, niż w obcym (z zachowaniem terminologji). Przekonać o tem może Trentowski i może kilka przytoczonych wyżej przykładów wystarczy na poparcie tego zdania.

Mamy więc dwa rodzaje wyrazów obcych: jedne, których należy się wystrzegać, to takie, obok których są polskie o tem samem znaczeniu, zwłaszcza, jeśli to są wyrazy potoczne (np. injekcja — zastrzyk, asekurować — ubezpieczać, restaurować — odnawiać, adaptować — przystosowywać), drugie, o których tłumaczenie lub zastąpienie nowotworami (często potworami) polskiemi nie należy się kusić, to przedewszystkiem terminy naukowe i techniczne, wspólne wszystkim językom europejskim lub ich większości (zoologja, logika, botanika, telefon, telegraf), albo wyrazy, dla których niema dokładnych odpowiedników w naszej mowie (np. sugestja, intuicja).

O jednem tylko trzeba pamiętać używając wyrazów obcych: unikać błędnego ich stosowania. Rada na to jedyna: nie używać słów, których znaczenia się nie rozumie, niech „mityczny" Herakles nie staje się postacią „mistyczną", tablica „orjentacyjna" niech nie zmienia się w ustach niedouczonego w „orjentalną" i t. p. Mnóstwo przykładów błędnego użycia wyrazów obcych przytoczyć można z łatwością. **L. W.**

Z PRZYRODY I TECHNIKI

KOMETY W PRZESTRZENI KOSMICZNEJ

Zjawiła się znowu na gwiaździstem tle nieba kometa i odkryta przez polskiego astronoma stała się „mimowolną" przyczyną przypomnienia społeczeństwu, że istnieją w Polsce obserwatorja astronomiczne i, że tradycja Kopernika w ojczyźnie naszej nie wygasła. Kometa Wilka niestety jak dotąd nie przestała być lunetarną kometą, gołym wzrokiem jest niewidoczna, a przez małe lornetki z trudem tylko daje się obserwować. W drugiej połowie stycznia przejdzie przez najbliżej Słońca położony punkt swej orbity, zwany przez astronomów perihelium, a jeśli wtedy nie rozbłyśnie większym blaskiem, wówczas ostatecznie spełznie na niczem nadzieja ujrzenia nieuzbrojonym wzrokiem tak rzadkiego gościa na firmamencie.

Faktycznie jednak komety wcale nie są tak rzadkie, jakby to można przypuszczać. Co prawda — komety jasne zjawiają się średnio co kilkadziesiąt lat, takie jednak komety, jak ostatnia kometa Wilka zdarzają się bardzo często. Astronomowie bowiem, corocznie rejestrują przynajmniej trzy komety w swych księgach meldunkowych niebieskich komisarjatów. Nic więc dziwnego, że dziś zjawiska kometarne należą do zjawisk najlepiej znanych astronomom i nie są dla uczonych przedmiotem tak wielkiego zainteresowania oraz emocji, jak dla zwykłych śmiertelników, wiedzących o gwiazdach tyle, że świecą w nocy, gdy chmur niema i że podobno kierują naszemi losami.

Od najdawniejszych czasów historji ludzkiej komety wzbudzały zawsze podziw narodów, ich nagłe, nieoczekiwane zjawienie się oraz niebywały kształt przejmowały ludzi przerażeniem, a mistrzowie nauk tajemnych wróżyli śmierć monarchom, klęski i zarazę ludom, zalecając dziwaczne środki zapobiegawcze. Jeszcze za czasów wielkiego Newtona pisywano mnóstwo bardzo uczonych traktatów o znaczeniu komet dla ludzkości.

Gdy wreszcie zajęto się systematycznie badaniem komet, nowa „naukowa" już obawa straszyła biednych Ziemian. Co, pytano, stanie się, z małą naszą planetą, gdy pewnego razu jakaś kometa zamachnie swym warkoczem i zawadzi nim o Ziemię? Biedny nasz glob zapewnie rozpryśnie się na tysiące kawałków, zmieciony będzie kosmicznym huraganem, przepadnie gdzieś w głębiach przestrzeni, a my przy strasznej tej kastrofie marnie zginiemy.

Bogu dzięki, uczeni wykazali, że i te obawy są płonne. Stwierdzono coprawda, że warkocze dużych komet dochodzą często do długości kilkuset miljonów kilometrów (!), (moda krótkich włosów nie przyjęła się zupełnie wśród komet), że tworzą pomosty poprzez odległości większe, aniżeli odległość Słońca od Ziemi, cóż jednak to wszystko znaczy, wobec faktu, że materja gazowa, z której składają się te warkocze jest tak bardzo rozrzedzona, że nie odznacza się nawet tysięczną częścią gęstości Ziemi. Często się już zdarzało, że Ziemia przechodziła przez warkocz komety, a przytem żadnych nie odniosła szkód.

Bardziej zgęszczone jest tylko jądro komety, z którego pod wpływem ciepła promieni słonecznych unoszą się owe gazy warkocza, podobnie jak para z garnka z gotującą się wodą. Jądro komet stanowi zwykle ogromne zbiorowisko większych i mniejszych „Kamieni kosmicznych", które znamy dobrze jako meteory i spadające gwiazdy. Atoli nawet zetknięcie się z samem jądrem nie groziłoby większem niebezpieczeństwem. Obserwowalibyśmy tylko bardzo liczny spadek meteorów, może nawet kilku ludzi zostałoby zabitych zbłądzonym kamieniem przestrzeni wszechświata, ludzkość jako całość nie ucierpiałaby jednak bynajmniej. Znacznie gorsze byłyby natomiast następstwa zbytniego zbliżenia się komety do Ziemi, dla samej komety, Ziemia poruszałaby się dalej po dawnej orbicie, kometa jednak zostałaby wyrzucona ze swego toru i krążyłaby dookoła Słońca po nowej orbicie, względnie opuściłaby nazawsze nasz układ planetarny.

Orbity komet różnią się od orbit planetarnych tem, że są wyraźnemi elipsami. Zwykle perihelium komety znajduje się w pobliżu orbity Ziemi i z tego to powodu kometa znajdując się w tej części swego toru zwykle bywa obserwowana. Miejsce najbardziej od Słońca oddalone leży zwykle w odległości kliku miljardów kilometrów od Ziemi i naszej gwiazdy dziennej, a gdy kometa porusza się w tych dalach przestrzeni kosmicznej, Słońce widziane z niej nie przedstawia się już w postaci wyraźnej



Kometa Wilka

tarczy, lecz jako bardzo jasna gwiazda, a jednak mimo tak potwornej odległości przyciąganie Słońca działa i przywołuje z powrotem niesfornego członka systemu słonecznego. Setki, a nawet tysiące lat w wielu wypadkach upływają, nim kometa ponownie wróci do regjonów bliższych Słońcu i Ziemi i ponownie rozwinie pod wpływem cieplnych promieni słonecznych swój wspaniały warkocz. Wielka kometa „napoleońska" z roku 1811 opiewana w „Panu Tadeuszu", dokonuje naprzykład jednego obiegu dookoła Słońca w ciągu 3.000 lat. Znaczy to, że kometa zjawiła się przedostatni raz na ziemskim firmamencie mniejwięcej w epoce wojny trojańskiej, a jeszcze dawniej przed tem widziała początki kultury egipskiej, hińskiej, a może i starohinduskiej. Coraz to inne państwa i inne narody widziała napoleońska kometa za każdym powrotem — cóż będzie, gdy kometa zjawi

się ponownie około roku 4800? Jakiego to nowego ujrzy Napoleona? A może nie będzie już wtedy wojen na Ziemi, a kolonjami naszemi będą Wenus i Mars połączone z macierzą rakietowemi linjami? Nie wiemy tego, wiemy tylko to jedno, że w wielkiem stawaniu się światów tysiąc lat jest jako jedna sekunda.

Bardzo ciekawe jest zagadnienie, skąd pochodzą komety? Mniemania astronomów są w tym wypadku różne. Bardzo możliwe jest, że komety są jakoby intruzami i zostały przez grawitację Słońca „wyłapane" z przestrzeni kosmicznej.. Takie przypuszczenie staje się bardzo prawdopodobne wobec faktu, że jak wykazały badania astronomów ostatnich lat, przestrzeń wszechświata nie jest tak bezwzględnie pusta jak to sądzono jeszcze nie dawno. Według badań Gerasimowicza i Struvego w obserwatorjum Yerkesa w Ameryce, wszechświat w okolicach, w których przebywa nasze Słońce wraz z orszakiem asystujących mu planet, napełniony jest gazem nader rozrzedzonym. Kula tego gazu o objętości naszej Ziemi waży niewiele więcej, aniżeli jeden gram tylko! Tak bardzo rozrzedzony gaz kosmiczny nie może oczywiście powodować zmian w ruchach Ziemi wskutek tarcia. Są jednak okolice wszechświata, w których owa „atmosfera" jest gęstsza i nie jest wykluczone, że w mglistej przeszłości i nasz układ planetarny przebywał drogę „wśród mgieł kosmicznych". Wówczas właśnie Słońce uzupełniało swój gwiezdny orszak gośćmi z kosmosu.

Wiemy już teraz definitywnie od stu lat blisko, że wszystkie gwiazdy stałe błyszczą własnem (nie odbitem) światłem i że są to takie same ciała niebieskie, często nawet znacznie większe, jak nasze Słońce. Bardzo też jest prawdopodobne, że wiele gwiazd stałych otacza wieniec planet, dookoła swego ciała centralnego. Byłoby również rzeczą bardzo ciekawą, stwierdzić, czy i w obcych układach słonecznych trafiają się komety.

Kwestją tą zajął się ostatnio amerykański uczony Harlow Shapley z obserwatorjum Harwardzkiego. Na podstawie badań widm gwiazd stałych doszedł on do przekonania, że faktycznie dookoła wielu owych tak bardzo od nas oddalonych Słońc krążą, podobnie jak dookoła naszej gwiazdy dziennej, komety oraz roje meteorów.

Jak widać, także w innych układach planetarnych znają gości z przestrzeni kosmicznych, choć wątpliwe jest, czy mieszkańcy odległych światów planetarnych wypisywali również tak naiwne bzdury o kometach, jak nasi prapradziadowie. Wobec wyników badań Shapleya nie wykluczone jest również, że niektóre komety, zauważone z Ziemi, krążyły niegdyś w innym systemie planetarnym.

Pozdrowienia z innych światów, pozdrowienia z głębin nieznanej przestrzeni kosmicznej przynoszą nam swawolne, długowarkocze komety.

dr. F. Burdecki

JAK WEDŁUG GWIAZD MOŻNA POZNAĆ KTÓRA GODZINA.

Czasem na wycieczce, czy na wieczornej przechadzce znajdziemy się bez zegarka. W dzień według słońca każdy z pewnem przybliżeniem obliczy godzinę — w nocy sprawa trudniejsza. Jeżeli jednak na niebie są gwiazdy, obilczenie jest niezbyt skomplikowane.

Przedewszystkiem trzeba się „zaznajomić" z jakąś jedną gwiazdą, którą przyjmiemy za podstawę obliczeń. Osobiście obrałam do tego celu Syrjusza. Syrjusz, najpiękniejsza gwiazda naszego firmamentu, to gość z południowej półkuli, którego jednak widzimy na naszem niebie w zimowych miesiącach.

Syrjusz, gwiazda pierwszej wielkości, o białym blasku, jest alfą gwiazdozbioru Wielkiego Psa. Jego zboczenie (odległość od równika niebieskiego) wynosi — 16°37', zaś wznoszenie proste (odległość od południka niebieskiego, przechodzącego przez punkt równonocy) wynosi 6 g. 42 min.

Patrząc na niebo szukajcie go w stronie południowej, na wschód od Orjona i niżej od niego.

Jak łatwo można obliczyć, Syrjusz około dnia 1 stycznia góruje o godz. 12-ej w nocy (góruje — t. zn. jest wtedy dokładnie na południu). Ponieważ czas jego górowania, tak jak każdej gwiazdy, przesuwa się codziennie o 4 minuty, przeto po miesiącu Syrjusz będzie górował o godz. 10-ej wiecz., a po dwóch — o godz. 8-ej wiecz.

Stąd już łatwe nasze obliczenia, które jednak, jako robione „na oko" mogą nas omylić nawet o całą godzinę.

Weźmy przykład. Dnia 10 lutego Syrjusz góruje o 2 godz. i 44 min. wcześniej niż 1 stycznia (4 min. $\times$ 41), czyli o godz. 9 m. 16 wieczorem. Szukam gwiazdy polarnej, według niej określam strony świata. Teraz staram się określić położenie Syrjusza — według tej oceny „na oko" — znajduje on się o 30° na wschód od linji południa. Musi zatem przebyć 30°, żeby górować. Ponieważ każda gwiazda w swym ruchu pozornym przebywa 15° na godzinę, przeto Syrjusz będzie górował dopiero za dwie godziny. Teraz jest zatem godzina 7 minut 16 wiecz. Jeżeli od tego odejmiemy stałą poprawkę naszego czasu (różnica między czasem środkowoeuropejskim, a czasem Warszawy) wynosząca 24 min. — to dojdziemy do wniosku, że na zegarku naszym w danej chwili dochodzi godz. 7-ma.

W lecie za podstawę obliczeń możemy przyjąć Altaira. Altair jest alfą gwiazdozbioru Orła, który łatwo zauważyć, gdyż posiada pas z trzech gwiazd w jednej prostej (często mylnie biorą ten gwiazdozbiór za Orjona, którego u nas w lecie nie widać). Zboczenie Altaira wynosi +8°40', wznoszenie proste zaś — 19 g. 47 min. Nam wystarczy tylko zapamiętanie, że Altair góruje o północy dn. 15 lipca i stąd podstawa do obliczeń.

W. Prażmowska

◆◆◆◆

Ze świata książek

Narcyza Żmichowska (Gabryella): Biała Róża.

Niespełna osiemdziesiąt lat dzieli nas od daty powstania tej książki, a taka to już dla nas odległa epoka, że śmiało możemy uważać powieść Żmichowskiej za dokument historyczny. Jakże dziwić się musimy my, ludzie powojenni, kiedy czytamy, że dwa, lub trzy pokolenia wstecz, tak zupełnie inaczej przedstawiały się stosunki społeczne, a zwłaszcza, jak wielkiej modyfikacji uległo stanowisko socjalne kobiet.

Kiedy po tragicznych wypadkach 1863 roku — jak to wyjaśnia w swej świetnej przedmowie p. T. Boy-Żeleński — lepsza część społeczeństwa męskiego zginęła w boju, lub zmuszona została do opuszczenia granic Polski sam los przyszłe dzieje Ojczyzny naszej złożył niemal wyłącznie w ręce kobiet.

Współcześnie rozwija się energicznie ruch feministyczny w innych krajach europejskich, a zwłaszcza we Francji. Lecz kiedy tam kobiety walczą jedynie o prawa społeczne, u nas potrafiły sobie kobiety zdobyć prawa obywatelskie. Od tej pory już nietylko pojedyńcze jednostki, lecz ogół kobiet zaczyna odgrywać rolę w życiu politycznem, lub raczej narodowem, gdyż politycznie Polska nie istnieje.

Jedną z inicjatorek i zarazem głównych postaci tego ruchu jest właśnie Narcyza Żmichowska założycielka „Entuzjastek" — grupy, która ważną odegrała rolę w emancypacji kobiet polskich.

Tyle o Żmichowskiej samej, teraz przejść trzeba do jej działalności literackiej. I tu spotyka nas przykra niespodzianka. Nie wiemy o niej prawie nic, w podręcznikach również nie wiele znajdziemy wiadomości, a przecież był to nieposledni talent!

Czytamy powieść Żmichowskiej pod tytułem: „Biała róża" i zastanawiamy się nad tem, dlaczego takie zapomnienie otacza jej autorkę? Odpowiedź na to: do dziś niemal nie były wydane jej dzieła. Nikt jej nie czyta, bo nie można dostać nigdzie jej powieści. Przychodzi więc na myśl, dlaczego tem się nie zajmie ktoś z powołanych? Lecz, niestety, to tak często spotykana u nas wada, której musimy się pozbyć jaknajszybciej, zbyt prędko zapominamy. I o Żmichowskiej zapomnieliśmy, a to wielka szkoda — trzeba to naprawić.

Zdziwićby mogło kogoś, że właściwie nie piszę nic o książce w swej recenzji, lecz czy można napisać o samej książce wiedząc, że ogół czytających nie będzie się orjentował, kim była autorka tej książki, w jakich żyła warunkach i jaką odegrała rolę. Chciałbym zaciekawić temi sprawami czytelników, wskazać im tę niezwykłą w naszej literaturze postać i skłonić ich do zainteresowania się jej dziełami.

Sądzę, że jeśli ktoś tylko spróbuje czytać „Białą różę" i pokona w sobie wszystkie uprzedzenia, jakie często miewają czytelnicy w stosunku do tak zwanych „starych" książek, nie będzie żałował tych kilku godzin, które spędzi nad tą lekturą, a kto wie może nawet zaliczy tę książkę do swych ulubionych utworów i z wdzięcznością wspomni recenzenta, który mu ją gorąco poleca.

St. Zaborowski: W sercu kniei.

Wiele jest w literaturze naszej książek opisujących przyrodę i polowanie. Są między niemi bardzo dobre, a nawet piękne, jak naprzykład: „Soból i panna" Weyssenhoffa, „W puszczy" Dygasińskiego i inne, lecz żadna z nich dorównać nie może książce Zaborowskiego.

On jeden z pośród opisujących polowanie potrafił zostać tylko myśliwym. Są w tych wspomnieniach duże wartości artystyczne, jest folklor

i znawstwo przyrody, ale to wszystko na drugim planie. Rzecz najważniejsza — to myśliwstwo.

Sport jest tem lepszy im różnorodniejsze daje wrażenia, a który ze znanych sportów tyle i tak różnych dać może wrażeń co polowanie — powiada autor. Korzystając więc z tej różnorodności wrażeń ukazuje czytelnikowi wszystko, co jemu pokazała kiedyś pełna cudnych tajemnic nasza przyroda.

Z jakąż niewysłowioną ciekawością podążamy z autorem w głąb puszczy poleskiej, oglądamy ją w nocy o świcie i w dzień i widzimy ją tak barwną i naturalną, że chwilami zdaje się, żeśmy tam byli naprawdę, że znamy to wszystko, co autor opisuje.

A potem my biedni myśliwi na „szaraki" rozmarzamy się i ze smutkiem gonimy na kartach tej naprawdę kochanej książki, tak mało już dziś dostępne głuszce i łosie i myślimy sobie, że jednak to wszystko bardzo było piękne i, że to musi być bardzo miło tak polować, jak polował p. Zaborowski. I... nim to dla nas samych stanie się kiedyś możliwe w rzeczywistości ścigamy urojoną zwierzynę z zapartym oddechem pochłaniając najpiękniejszą epopeję łowiecką.

Mik.

◆◆◆◆

O wszystkiem potrosze

10.000 MRÓWEK.

Przyrodnik profesor Andrews dokonał ciekawego choć żmudnego obliczenia ilości mrówek, zamieszkujących mrowisko średniej wielkości. Liczba mieszkańców owego mrowiska wynosić miała około 10.000, w czem aż 11 królowych.

ALUMINJOWE OKŁADKI DO KSIĄŻEK.

W pasach klimatu gorącego, gdzie obszary pustynne i lasy dziewicze, przy takiej samej niemal temperaturze, posiadają powietrze zbyt suche lub też przeładowane parą wodną, tekturowe okładki książek bądź skręcają się i pękają wskutek nadmiernej suchości atmosfery, bądź też pęcznieją i rozklejają się od wilgoci. Aby temu zapobiec zaczęto ostatnio oprawiać książki, przeznaczone dla krajów o klimacie tropikalnym, w blachę aluminjową. Okładka taka jest cienka, lekka, daje się myć i nie podlega działaniu pasożytnych owadów, będących jedną z plag klimatu gorącego. Na powierzchni blachy tej, dzięki odpowiednim zabiegom chemicznym, druk trzyma się nie gorzej niż na papierze.

SKĄD BIERZE SIĘ SÓL W MORSKIEJ WODZIE.

Dr. Tomasz Jagger, dyrektor stacji badań zjawisk wulkanicznych na wyspach Hawajskich, jest zdania, iż sól znajdująca się w wodzie morskiej pochodzi z 485 czynnych wulkanów całego świata, które co rok z kraterów swych wyrzucają w postaci gazów 100.000.000 ton kwasu solnego. Z gazów tych deszcze wypłókują kwas solny, który w wodzie morskiej łączy się z solami sodu na sól kuchenną, stanowiącą nieodłączną część wody morskiej.

NOWOCZESNY „ARTYKUŁ" EKSPORTOWY.

Zapewne niema wśród Szanownych Czytelników a może i Czytelniczek nikogo, ktoby choć w najmniejszym stopniu nie interesował się tak popularną dziś kwestją eksportu, niewielu jest jednak takich, którzyby słyszeli o „wywożeniu" ...siły spadków wodnych. A jednak międzynarodowy handel energją spadków wodnych rozwija się ustawicznie. Kraje ubogie w wielkie źródła energji, zamiast przywozić węgiel — mogą zapomocą kabli otrzymywać prąd o wysokiem napięciu, który po przetworzeniu w transformatorach służy do oświetlenia, daje siłę napędową przemysłowi i kolejom. W Europie państwami posiadającemi wielkie zasoby energji spadków wodnych są, prócz krajów Alpejskich, państwa Skandynawskie, z których Szwecja, obfita w górskie rzeki i jeziora, sprzedaje prąd sąsiedniej Danji. Wobec rosnącego zapotrzebowania na prąd w tym ostatnim kraju ostatnio ułożono w cieśninie Oeresund nowy kabel podmorski.

Z GŁĘBIN OCEANÓW.

Najmniej zbadanemi, a więc i znanemi miejscami naszego globu są niewątpliwie, głęboko pod powierzchnią wody leżące, obszary mórz i oceanów. Po pewnym czasie, wszystkie stworzenia, żyjące na powierzchni ziemi i w mniejszych głębokościach, będą przez uczonych zbadane i sklasyfikowane, niedostępne obszary górskie przestaną kryć w sobie jakiekolwiek tajemnice, zaś oba bieguny i ich okolice staną się miejscem, na którem odkrywca-podróżnik nie będzie miał nic do roboty: zostaną raczej punktami stałej, systematycznej pracy badawczej meteorologów, geografów, przyrodników i innych uczonych. A jednak nawet wówczas ciemne głębie morskie kryć w sobie będą nieprzebraną moc dziwnych, nieznanych stworzeń. To też właśnie życie w znacznych głębokościach, w warunkach, które my dzieci słońca z trudnością wyobrazić sobie możemy, pociąga przyrodników, starających się wydrzeć mrocznej toni choć drobną cząstkę jej tajemnic.

Zapomocą jedwabnych, mocnych sieci, zapuszczanych na głębokość paru kilometrów wydobywa się z morza dziwne stworzenia, przypominające naogół zwykłe ryby, jednak przystosowane do życia w specyficznych warunkach. Zwierzątka, wyciągnięte na pokład statku odrazu umieszcza się w specjalnych akwarjach i naczyniach i w nich dopiero poddaje się je badaniom. Jednak te głębinowe stworzenia nie czują się w akwarjach; jak przysłowiowe „ryby w wodzie", do czego przyczynia się nadmiar, tak potrzebnego dla życia innych istot, światła, ciepła oraz zbyt małe ciśnienie. Na głębokości 20 metrów pod powierzchnią wody światła jest tyle mniejwięcej, co na ziemi w noc księżycową, na głębokości 400 m. — ile nam go dają gwiazdy, rozjaśniające noce podczas nowiu. Jednak ciemność w głębinach morskich nie ma tego charakteru, co ciemność naszej nocy. W mrokach głębin nikną najpierw promienie czerwone, niżej niebieskie, wreszcie fioletowe. To też zwierzątko o czerwonem zabarwieniu w bliskości dna morskiego było czarnem, ponieważ niema tam czerwonych promieni, któreby mogły być odbite; gdyby go nie wyciągnięto na światło dzienne — nigdy nie byłoby czerwonem. Jeśli temperatura wody na powierzchni, wynosi 20^0 C, to o kilometr niżej, około 4^0 C, zaś w większych głębokościach niedaleka jest od punktu zamarzania. Ciśnienie w wodzie morskiej wzrasta na każde 10 m. głębokości o jeden kilogram na centymetr kwadratowy, czyli na głębokości 1 km. ciśnienie równa się w przybliżeniu wadze 20 ton (ciężar normalnego towarowego wagonu kolejowego wraz z ładunkiem) na powierzchnię wielkości dłoni.

Ponieważ rośliny bez światła słonecznego rozwijać się nie mogą, wszystkie głębinowe zwierzęta należą do mięsożernych; wiele z nich o ciele przypominającem nasze węże i potwornej, straszliwie uzębionej paszczy — to groźne drapieżniki, z których niejeden potrafi, dzięki elastycznemu żołądkowi, połknąć rybę dwa razy większą od siebie.

Gdyby nagle czarna, wieczna noc okryła swym całunem jakieś wielkie miasto, pozbawione możności rozświetlenia mroków, to wyżyć zdołałyby tylko jednostki, któreby posiadały sztuczne światło, lub specjalną zdolność omijania w ciemności niewidocznych niebezpieczeństw i zdobywania koniecznego pożywienia. Takie mniejwięcej warunki panują w głębiach morskich. Ryby, kałamażnice i inne stworzenia posiadają, potężne w stosunku do swych rozmiarów reflektory, skórę usianą mnóstwem drobniutkich, mocno świecących ciałek; ogromne, wypukłe oczy widzą wszystko. Inne z nich mają długie, czułe macki, są jednak ślepe; oczy ich zamienione są w reflektory, które światłem swem zwabiają inne stworzonka, mogące im służyć za pokarm.

By wyciągnięte na powierzchnię stworzenia móc badać, należy akwarja umieścić w zupełnie ciemnem miejscu, gdzie dobrze widać przepiękną grę barwnych świateł, jasne smugi reflektorów, skonstruowanych na podobieństwo naszego oka. Świecące punkciki, ułożone w dziwaczne wzroki na ciałach zwierząt, stanowią rozpoznawcze znaki dla jednostek tego samego gatunku.

Ów tajemniczy świat podmorski, tak mało nam znany, większy jest wiele razy od powierzchni wszystkich lądów, a choć tysiące ludzi na pokładach wspaniałych okrętów przemierza ustawicznie we wszelkich kierunkach rozległe wody oceanów, mało który z nich pomyśli o tem, że parę tysięcy metrów pod prującym fale kadłubem statków, wre wśród wiecznej nocy i zimna tajemnicze, niezbadane życie miljardów stworzeń, trwa ustawiczna, twarda walka o byt.

LODY GRENLANDJI.

Do mierzenia głębokości dna morskiego od niedawna używa się coraz częściej tak zwanej sondy akustycznej. Na powierzchni wody wywołuje się pewien dźwięk i notuje czas, po jakim dźwięk ów, odbity przez dno morskie, powróci na powierzchnię. Znając szybkość rozchodzenia się fal głosowych w wodzie morskiej, znajdujemy, mając dany czas, szukaną głębokość. Na tej samej zasadzie oparła swe prace wyprawa naukowa Wegenera, pracująca obecnie na terenie Grenlandji. Jednym z głównych

jej celów miało być dokonanie pomiarów grubości lodu, pokrywającego całą powierzchnię tej największej z wysp świata. Dość znaczne ładunki dynamitu, eksplodujące w górnej warstwie lodu stanowiły sygnał dźwiękowy, którego drgania odbite przez skaliste podłoże wyspy wracały po pewnym czasie na powierzchnię, dając możność ścisłego obliczenia grubości lodu. Przy wysokości powierzchni lodu 1500 m. nad poziom morza, grubość powłoki lodowej wynosi mniejwięcej 1200 m, a więc wzniesienie lądu równa się 300 m nad poziom morza. Ekspedycja pracująca w górach Umanak (zachodnie wybrzeże Grenladji, nad zatoką Baffina), stwierdziła, że płaszczyzna lądu opada od wysokich gór nadbrzeżnych ku środkowi wyspy; bardzo możliwe jest zatem, że potężna masa lodu, pokrywającego Grenlandję, utrzymuje się w ogromnem zaklęśnieciu ziemi. Oprócz wykonania tych pomiarów ekspedycja badała procesy topnienia lodu na jego krańcach oraz ruchy lodowców, dokonała też poważnego trudu przezwyciężając, w ciężkich warunkach klimatycznych i terenowych, niedostępny łańcuch gór Umanak.

NASZA ROZMOWA

p. Antoni Dziadek, Katowice.

Niektóre zadania Pana umieszczamy — inne wymagałyby większych poprawek, tych zaś w zadaniach plebiscytowych nie robimy, gdyż wtedy nie miałby Pan wyłącznego autorstwa. Za miłe życzenia serdecznie dziękujemy.

p. Edward Wechsler, Klarysew.

Artykulik Pana skierowaliśmy do działu literackiego — ujrzy Pan odpowiedź w następnym numerze. Chętnie ujrzymy Pana artykuły o życiu szkolnem w Klarysewie, jest to bowiem jedno z nielicznych w naszym kraju gimnazjów położonych zdala od miasta. Wyobrażamy sobie, że musi to być świetny teren dla pracy harcerskiej i dla sportów, to jest do tego, co jest Pana umiłowaniem. To środowisko wsi tłomaczy zapewne, że nie ma Pan wiele czasu na czytanie książek — przypuszczamy jednak, że wyrobi Pan w sobie i to zamiłowanie. Nie trzeba zresztą czytać zbyt wiele — trzeba zato czytać dobre książki. Zużytkowanie zaś wolnego czasu na pracę harcerską i na sporty przyniesie Panu niewątpliwy pożytek.

p. Roland Kiewlicz, Święciany.

Wdzięczni Panu jesteśmy za żywe zainteresowanie się pismem, czego dowody składa nam Pan przez nadesłanie szeregu cennych projektów. Ciekawi jesteśmy, co inni czytelnicy powiedzą o projekcie konkursu literackiego na nowelę i na wiersz? Zaczekamy na ich opinję. Drugi projekt Pana będziemy się starali uskutecznić. Ocenę swych prac znajdzie Pan w następnym numerze. Za serdeczne słowa dziękujemy.

p. Leonarda Kamińska.

Niestety ma Pani słuszność. Z powodu choroby kierownika działu rozrywek wkradły się usterki i niedopatrzenia — obiecujemy się poprawić. Nie możemy narazie wydawać „Sternika", jako pismo tygodniowe, gdyż na to mamy jeszcze zamało prenumeratorów. Jesteśmy pewni, że dotychczasowi czytelnicy „Sternika" będą nam zjednywać coraz więcej prenumeratorów, a wtedy wydawanie tygodnika stanie się możliwem. Projekt Pani rozważymy, choć realizacja jego może napotkać duże trudności.

Pisma nadesłane

„Z POD CZAPKI UCZNIOWSKIEJ", Poznań (Nr. 4, R. III).

Pod tym niezręcznym tytułem wydaje młodzież poznańskich szkół średnich miłe, bezpretensjonalne pisemko.

Przyzwyczajeni do wielkopolskich curiosów językowych, przejrzeliśmy ten miesięcznik z miłem zdziwienie.

Trochę tu może za dużo tych „harcerzyków" i „weteranów", ale wszystko razem zostawia dodatnie wrażenie.

Nawet wierszyk „Nie po to"... świadczy o dużej kulturze autora — bezwątpienia ucznia jednego z poznańskich gimnazjów. A przecież w Poznaniu zawsze z wierszami było źle. Postęp jest duży.

„GŁOS MŁODZIEŻY", pismo Samocz. Uczn. Gimn. L. Lorentza, Warszawa (Nr. 1, R. VII).

Bardzo nierówno i niedbale redagowane pismo. Obok rzeczy zupełnie dobrych (jak. np. cały niemal „Dodatek dla najmłodszych"), znajdujemy artykuły pozbawione zdrowego sensu. Takim nonsensem jest artykuł dyskusyjny Andrzeja Domańskiego — o harcerstwie, którego autor broni wyjątkowo niezręcznie.

Piękne „Wspomnienie o ś. p. Zygmuncie Hertzu" zostało zeszpecone nad wyraz niechlujną korektą. Dziwna rzecz, że w piśmie mającem 7-o letnią tradycję, nie znalazł się nikt, ktoby dbał o ten „zewnętrzny" chociażby poziom.

Sport w kraju i zagranicą

Kaprysy aury najdotkliwiej dają się we znaki sportowcom. Poprostu z humorystyczną nieomylnością w terminie ogłoszonym na mistrzostwa i turnieje sportów zimowych: narciarstwa, łyżwiarstwa, hokeja lodowego, zjawia się odwilż; naodwrót przy zapowiedzi meczu piłkarskiego można oczekiwać kilkunastu stopni mrozu lub gęstej zadymki śnieżnej. Nic dziwnego, że w takich warunkach...

Mistrzostwa świata w hokeju na lodzie kilkakrotnie odkładano, zmieniano regulaminy rozgrywek i ostatecznie finały o 1 i 2 oraz 3 i 4 miejsce odbędą się w krytych halach. Rozegrane (systemem puharowym) spotkania wstępne przyniosły kilka sensacyjnych wyników, przykrych dla zeszłorocznych zwycięzców, a więc i dla Polski.

Reprezentacja nasza po łatwiutkiem zwycięstwie nad egzotyczną Japonją w stosunku 5 : 0 przegrała z Niemcami 1 : 3, z któremi przecież potrafiła wygrywać 5 : 0 w latach poprzednich. Zeszłoroczny mistrz Europy Czechosłowacja wyszedł jeszcze gorzej z tegorocznego turnieju, przegrywając ze Szwajcarją 1 : 3. Ostatecznie do mistrzostwa Europy na r. 1930 roszczą pretensje Szwajcarja i Niemcy. Spotkanie to rozegra się w Berlinie, o 3 i 4 miejsce grają Polska i Austrja w Wiedniu. Zwycięzca spotkania berlińskiego zmierzy się z Kanadą o mistrzostwo świata.

Wobec świetnej formy i umiejętności hokejowych kanadyjczyków mecz ten jest dla nich zwykłą formalnością. Czekajmy tylko z niecierpliwością na wieści o ... ilości bramek, dzielących hokej europejski od kanadyjskiego.

Czekać nam przyjdzie również na zaoceaniczne wiadomości o startach Petkiewicza. Doskonały długodystansowiec polski po łatwem zwycięstwie nad mało znanemi wynikami, w dniu 8 b. m. zmierzy swe siły w poważnych zawodach z Ritolą, znanym fenomenem fińskim i kilkoma pierwszorzędnymi zawodnikami. To już jest doprawdy żenujące, ale ... (znów czekanie!).

W dniu 5 lutego rozpoczynają się mistrzostwa narciarskie Niemiec, na które wyjechali czołowi zawodnicy Polski z Czechem Br. i Szostakami w pierwszym rzędzie.

Mistrzostwa drużynowe w boksie zakończy spotkanie Warta (Poznań) — Bokserski Klub Sportowy (G. Śląsk). Ślązacy pokonali ubiegłej niedzieli „Sokoła" (Łódź) w stosunku 10 : 6.

Gry sportowe ograniczyły się do lokalnych spotkań i coraz częstszych turniejów.

A propos... gier sportowych: ostatni „Przegląd Sportowy" w liście z Chicago donosi o niezwyciężonej drużynie polskiej „Absolwenci Szkoły Św. Trójcy" — mistrzu piłki koszykowej Chicago i okolicy, którą korespondent wyżej stawia od naszych najlepszych „Cracovji, Polonji" i „Czarnej 13". Gdyby tak doszło do spotkania...

Nieciekawe aktualności zamykamy stwierdzeniem żywiołowego rozwoju ping-ponga, który od spotkań klubowych lokalnych, przeszedł na międzymiastowe zawody klubowe.

DO WALKI Z WROGIEM

Tydzień ubiegły upłynął pod hasłem walki z alkoholizmem.

Alkoholizm jest jedną z najstraszliwszych klęsk społecznych, która w ostatnich latach wzrosła w Polsce niepomiernie.

Współczesne młode pokolenie, pokolenie miłośników sportu, dążące do pełni tężyzny fizycznej i moralnej — zawsze stronić będzie od alkoholu.

To jednak nie wystarcza. Niedość samemu zrozumieć zło — trzeba z niem walkę podjąć przez uświadamianie tych, co wroga do swego domu wpuszczają.

Ileż to dzieci nawet pije stale wódkę, ilu młodych chłopców przepija swój codzienny zarobek.

Za przykładem młodzieży harcerskiej podejmijmy akcję propagandy abstynencji między tymi, co jej doniosłości dotąd nie rozumieją.

KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

Do matki

Zerwałbym bzy,
śnieżyste bzy,
i usłał niemi drogi.

Zebrałbym łzy,
radości łzy,
i wylał Ci pod nogi.

Rozsiałbym mgły,
tęczowe mgły,
co wiszą hen, na niebie.

Rozsnułbym sny,
słoneczne sny,
Jedyna ma, dla Ciebie...

Alfons Dziarnowski

Happy end

Napróżno, chudy literacie,
Chcesz dramat swój do filmu dać,
Choć piękny — cóż nam po dramacie,
Gdy nie możemy po nim spać?...
Precz z dramatami nudnych zrzęd,
Niechaj nam żyje happy end!

Precz z dramatami na ekranie
Wszechwładny tłumek życzy tak.
Szanujmyż jego wymaganie,
Głos ludu — boskim głosem wszak.
Wyzwolon z pesymizmu pęt
Niech nam króluje happy end.

Już znika z kin repertuaru
Dramat. — Więc tłumku ciesz się, ciesz!
Cóż! — kiedy nie ma Bóg zamiaru,
By dramat z życia skreślić też.
I nie przestaje deptać pięt,
Zły los naprzekór happy end.

Leszek Rybicki

ODPOWIEDZI DZIAŁU LITERACKIEGO

p. Taro, Tomaszów Mazowiecki.

Odpowiedź na poprzednio nadesłany wiersz Pański (który bynajmniej nie zaginął) umieściliśmy w zeszłym N-rze „Sternika".

Nowelka „Echa dzieciństwa" — zupełnie dobra. Będziemy ją drukowali w jednym z najbliższych numerów.

Bardzo trafnie opisał Pan ów charakterystyczny w życiu „sztubackim" okres. Sądzimy jednak, że powinien się Pan raczej zajmować prozą niż poezją.

Wiersz pański „Na lekcji" jest w porównaniu z nowelką „Echa dzieciństwa" — prawdziwie „sztubackim" utworem.

Na przyszłość, niech się Pan postara o większą zwartość i zwięzłość. Trzeba unikać zbytecznych i przeważnie banalnych szczegółów.

p. J. M. Orwit.

Wdzięczni jesteśmy Panu za życzenia, niestety nie wszystko zrozumieliśmy jak należy. Pisze Pan tak zawile i tak pretensjonalnie, że wszystko co możemy Panu odpowiedzieć nam samym wydaje się nazbyt proste.

Te pańskie „błędne koliska", „Myśli Przedwieczne", „ołtarze Macieży" (bój się pan Boga, dlaczego przez ż?!) — to stare, zużyte rekwizyty, o których nikt już słyszeć nie chce.

Jeśli taki jest pański dramat „Zmartwychwstanie", to niech go Pan lepiej nie przysyła.

Nie będziemy się wdawać w „chłodną analizę" nadesłanych wierszy. Sądząc z tych prób — jest Pan na najlepszej drodze do grafomaństwa.

Jeśli się pan nie pogniewa na nas za ostrą krytykę, prosimy o „bliższe dane". Bardzo mało o Panu wiemy.

p. „Kurchan", Kalisz.

Nowelka pańska jest niezła, ale jeszcze nie do druku. Oryginalność tematu jest tylko pozorna. Forma nazbyt banalna.

Znać na Panu pewną znaną nam dobrze manierę, manierę zaczerpniętą z trzeciorzędnych powieści.

„Wytworny" świat, w którym miljoner (koniecznie!) „rzuca" służącemu rozkaz: „Przygotować Packarda!" — świat ten tchnie przeraźliwą nudą. Niech się Pan przeniesie w ciekawsze rejony, np. do swojej starej, poczciwej szkoły.

p. Adam Lwicz, Włocławek.

Podziwialiśmy rozpiętość skali pańskich zainteresowań poetyckich. Oba wiersze są bardzo, bardzo słabe.

Erotyk „Daj mi usta twe....", nawet gdyby był lepiej napisany, nie nadawałaby się oczywiście na łamy „Sternika". Sam pan to pojmuje.

Wiersz „Przed ołtarzem Marji" jest piękny w swojej intencji, ale za szlachetnością intencji musi iść zawsze szlachetność formy.

Rymuje pan wyrazy „sług" i „stóp" — to nawet nie jest asonans!, używa pan wyrażeń „dla Cię", „niebiańskie krużе" (?), pisze pan pieśń „chwalebna" w znaczeniu pochwalna.

Każdy wiersz powinien przejść przez kilkakrotną korektę samego autora. Nie znać tego po pańskich wierszach.

p. W. Pawlak, Mogielnica.

Wiersze pańskie są istotnie zbyt proste — nawet prymitywne. Oprócz typowych młodzieńczych błędów poetyckich popełnia pan błędy gramatyczne:

„...Bo nie kocha
Ja Chrystus!..."

Drugi utwór bardzo niezręczny. Prosimy o próby z zakresu prozy.

p. Wł. M. Smoleński, Czortków.

Z trzech nadesłanych wierszy drukować będziemy tylko trzeci („Na drogę"). Dwa pozostałe o wiele słabsze: banalne i pełne niezręcznych wyrażeń w rodzaju „Ból nieznany żal przegłuszył". Kto kogo ostatecznie „przegłuszył": żal — ból, czy ból — żal? Jak pan myśli?

Ale utwór „Na drodze "o wiele lepszy. Zobaczy go pan niezadługo w „Kolumnie Młodych Piór".

p. Alfons Dziarnowski, Grudziądz.

Wiersz „Do Matki" drukujemy. Pozostałe — słabsze. Nadużywa pan wyrażeń w rodzaju: „Moc strojna w tęcze i serca sakrament". To razi.

„W noc Sylwestrową" — to rzecz bardzo nierówna. Pierwsza część dużo lępsza od drugiej. To wieczne przeciwstawianie nędzy — nocom „szału i ułudy" już się ludziom znudziło. Znać jednak duże opanowanie wiersza.

„Chrystus w mieście", jest o wiele ciekawszą próbą. Dość dobrze operuje pan asonansami. Nie można pisać: „Otoczony śniegiem niebieskim i mroźnym swądem (?)". Wiersz, dobry naogół, załamuje się w paru miejscach. Może następne próby będą lepsze.

Dziękujemy za życzenia i słowa uznania. Życzymy panu nawzajem powodzenia w walce o samodzielne stanowisko.

p. Roland Kiewlicz, Święciany Wileńskie.

„Krzyk wśród burzy" ukaże się na łamach „Sternika".

„Sen Bałtyku", nieco zadługi. Trzebaby uskutecznić pewne poprawki, powykreślać banalnostki i niezręczne zwroty. Zatrzymamy w tece zapasowych rękopisów.

p. Wacław Śledziński, Warszawa.

„Pierwszy śnieg" — to wielki krok naprzód w stosunku do poprzednich utworów pańskich. Radzi jesteśmy, że, zgodnie z naszemi wskazówkami, porzucił pan „sensacyjne" tematy.

Stara się pan pisać prościej — to bardzo dobrze ,ale grozi panu nowe niebezpieczeństwo — banalność.

Temat, który pan sobie obrał, jest już na wszystkie boki „obrobiony". Trzebaby go w bardzo piękną formę ubrać, aby utwór nie wydał się banalny. Pracować nad formą — oto wszystko, co możemy panu doradzić.

P. S. Po polsku mówi się: „wszystko jest **gnuśne**", nie zaś: „wszystko jest **gnuśnem**".

Dział rozrywek umysłowych

ZADANIE KONIKOWE
(podał Wacław Śledziński)

Ruchem konika szachowego powiązać należy sylaby i odczytać złotą myśl Adama Mickiewicza.

dzim	tęgę	brze	pi	chęć
prze	sać	wi	po	do
trud	w dzia	gę	ko	na
księ	żyć	wach	dzień	niu
Wsło	niej	ła	niż	tyl

ZADANIA PLEBISCYTOWE
(warunki w Nr. 1)

1. BILETY WIZYTOWE.
(podał Antoni Dziadek)

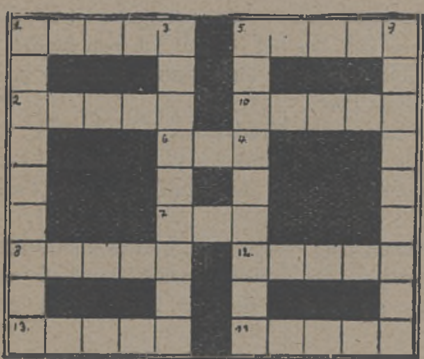
K. Hi. Szewc nie ryknie

Imię i nazwisko polskiego pisarza

T. Wojp-astma-okno.

jaka to znana opera polska?

2. KRZYŻÓWKA.
(pod. Antoni Dziadek)



Znaczenie wyrazów:

Poziome: 1 — trzos, 2 — strach na dzieci. 5 — ognisko w polu. 6 — nieszczęście. 7 — władca wspak. 8 — tablica na ołtarzu (wspak). 10 — dawna moneta. 11 — war. 12 — lampa (wspak). 13 — pierwiastek.

Pionowe: 1 — pociąg na pustyni. 3 — kobieta rycerskiego ducha (III p. l. mn.). 4 — stok (II p. l. p.) 5 — katarakta (II p. l. p.). 9 — imię męskie (II p. l. p. wspak).

KONKURS WSZECHSTRONNOŚCI.
(warunki w Nr. 1)

V. CYKL GEOGRAFICZNY.

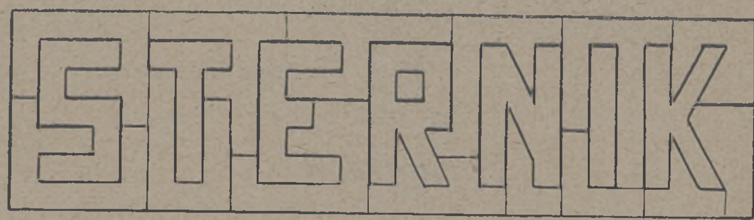
1. Jakie góry w Polsce są najstarsze?
2. Jakie bogactwa górnicze zawiera wyżyna Śląska?
3. Wskazać szlaki dawnych wojen i kolonizacji obcej, uzasadniając położenie tych szlaków.

ROZSTRZYGNIĘCIA KONKURSÓW

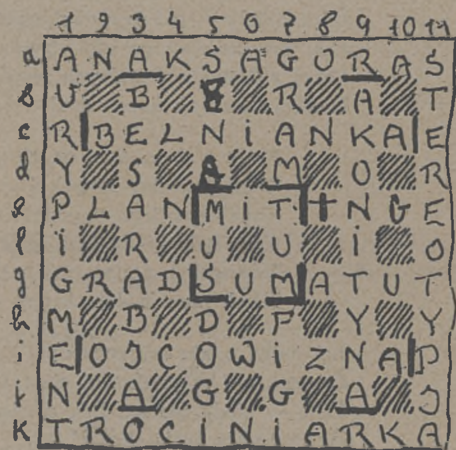
Z pośród rozwiązań zadań z Nr. 3 ub. roku wylosowano do nagrody rozwiązanie p. Jacka Góreckiego ze Zduńskiej Woli. W nagrodę otrzymuje kwartalną prenumeratę „Sternika".

Rozwiązania zadań podajemy poniżej:

Rozwiązania zadań z Nr. 3 ub. roku i 1 b. r.



u	g	o	r
g	ó	r	a
o	r	o	t
r	a	t	a



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
J	E	R	Z	Y	Ż	U	Ł	A	W	S	K	I
A	M	U	Y	A	Y	T	O	P	I	A	U	S
S	F	T	M	P	W	O	B	A	Z	M	B	T
K	A	Y	A	U	I	P	O	T	U	A	A	R
R	Z	N	Z	R	L	J	D	J	R	R	L	J
A	A	A	A	A	A	A	A	A	A	Ą	A	A

„STERNIK" WYCHODZI 10-go I 25-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 23, Tel. 445-16, Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów we wtorki i piątki od 5—6 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł., 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Warszawskie Zjednoczone Zakłady Graficzne „SPÓŁDRUK", Warszawa, ul. Długa Nr. 26. Telefon Nr. 260-19.